Numer 39. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 23 Września 1928



ROŁA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Z koniem nie z osłem.

Na temat pruskiego byłego następcy tronu krąży w Niemczech następująca anegdotka:

Pewnego dnia Hindenburg opanowany manją wielkości, postanowił złożyć wizytę w niebie. Św. Piotr, dostrzegłszy go, — zamknął mu bramę niebios przed nosem, mówiąc:

— Marszałek tak sławny, jak ty, może się tu dostać tylko, jeżdżając na koniu.

Wściekły Hindenburg udał się do pruskiego następcy tronu i zdał mu relację.

— Ależ ten św. Piotr jest bezczelny, — odpowiada tenże — chodź pan ze mną, już ja się z nim rozmówię.

I obaj poszli pukać do bram niebios.

Św. Piotr otworzył, dostrzegł kronprintza i wówczas, zwracając się do Hindenburga, rzecze doń zirytowany:

— Mówiłem ci, abyś przybył z koniem, a nie z osłem!

I zatrzasnął bramę niebios.



Nauczył.

Ojciec widzi, jak córka jego całuje swego ukochanego; przyskakuje więc zaperzony i woła:

— Nauczę ja cię całować mężczyzn!

— Za późno! — odpowiada młody człowiek. — Już ja ją nauczyłem.....

Dobry mąż.

Pakulski alarmuje cały dom wołaniem:

— Na pomoc! Ludzie, na pomoc!

— Co się stało? — pytają przestraszeni sąsiedzi.

— Moja żona chce oknem wyskoczyć.

— No i co?

— Zamki zardzewiały, nie mogę sam okna otworzyć!



Spółka.

— Oj, to głos mego męża.

— Otwieraj szafę, to się tam chociaż ukryję...

— A, co tam! Wchodź pod łóżko, tam już jeden siedzi!...



Ten sam.

— Od czasu, jak gram w tennisa, stałem się innym człowiekiem.

— Spodziewam się jednak, że jesteś tym samym człowiekiem, który przed dwoma miesiącami pożyczył ode mnie 20 złotych.

Numer 39. Rok XI. Kraków, dnia 23 Września 1928.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Signum temporis.

(Znak czasu).

Gdy się przegląda pisma codzienne, czy tygodniowe, ich dział kroniki przynosi obfite żniwo wypadków, morderstw, czy zamachów samobójczych.

Mimowoli ciśnie się na usta pytanie: cóż to za powód, cóż skłania ludzi do podobnych porachunków z życiem? Dlaczego człowiek nie stara się przeciwstawić złu, nie walczy z niem, lecz w podobny sposób ucieka od walk i przeciwności. Jedni twierdzą, iż to są skutki długotrwałej wojny. Ona zatarła uczucie ludzkie: człowiek stał się zwierzęciem. Człowiek człowiekowi wilkiem jest. Ludzie gonią za użyciem, za błyskotkami jego. I w tej gonitwie zapomnieli o pewnych prawach, normujących życie, a którym na imię Dekalog — a stąd zapomnieli o tem, że świat dzierży Sprawiedliwa Ręka, która wszystko mierzy: zło czy dobro. I stąd właśnie pochodzi dzisiejszy stan rzeczy, choroba wieku. Należy dołożyć wszelkich starań, by kres temu położyć.

Nawet dzisiejsza moda niewieścia jest niezdrową. Owe różne dekolty, podkasania, przejrzyste materjały nie dają pojęcia o dobrym smaku kobiety. Nie chcę tu obrażać godności, czy czci naszych pań; być może, że niejednemu dziewczątku jest z tem „do twarzy“, że chętnie na jej wdzięcznej postaci oko spoczywa bez brudnej podniety, podziwiając piękno i harmonijność linji, ale co powiedzieć o niejednej osobie sprawiającej zdala wrażenie szesnastolatki, a zbliska okazuje się błyszczącem próchnem?...

Gorzej się sprawa przedstawia z młodzieżą naszą. Od czasu do czasu daje się słyszeć, że tu uczeń strzelił do nauczyciela, tam znowu targnął się na młodociane życie.

I czyż można myśleć o lepszej przyszłości naszego Narodu? Chyba, że Opatrzność w swem bezdennem miłosierdziu znów sprawi jaki cud i zatrzyma Ojczyznę naszą nad brzegiem zagłady.

Trzeba przyznać, że szkoła nasza za mało wychowuje. Toczą się nieustanne dyskusje na temat programów czy systemów metodycznych, ale o tem, jak dziecko wychować, jak zaprawić go do walki życiowej, jak utrwalić w nim wolę szlachetną — o tem nie słychać.

Dzisiejsze wychowanie kładzie ogromny nacisk na fizyczny rozwój ciała, zaniedbując stronę moralną. Mojem zdaniem ta ostatnia winna dominować, boć przecież ona reguluje wzajemne współżycie ludzi pomiędzy sobą.

Nadomiar złego, dają się odczuwać prądy, dążące do usunięcia Boga i Jego wskazań ze szkoły, a to w imię jakiegoś liberalizmu, czy źle pojętej swobody.

Cóż się wtedy stanie, gdy pryśnie i ta ostateczna zapora? Gdy upadnie ten autorytet, jakim jest Bóg. Czy kraj nasz, któremu ledwie błysnęła zorza wolności, ma przechodzić wstrząśnienia, jakie mają miejsca w Rosji czy Meksyku?

Czas się otrzeźwić! Znak czasu, Nemezis dziejowa ostrzega. Niech uważnie baczą ci, co trzymają ster w rządzie Narodu. Przed dwoma laty padło hasło sanacji moralnej. Niechże ono nie będzie pustym frazesem.

Wszystko, co dobre i szlachetne, niech sobie poda ręce i walczy aż do skutku. Ale walka ta niech sięgnie w najniższe warstwy, niech wejdzie w krew, na bok inne sprawy. Ratować duszę Narodu. A gdy przyjdzie czas, wtedy

Na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!

Stanisław Wojtasik.

DONAT LESIOWSKI. (Przedruk wzbroniony).

Szlakiem idei.

Powieść

XI.

Nareszcie stanęli na polskiej ziemi... witani radośnie przez swoich.

We Lwowie zaciekawiona ludność cisnęła się do polskich wędrowców, dziwiąc się opowiadaniom długiej ich podróży, każdy też zapraszał do swego domu i gościł czem mógł tych wytrwałych bohaterów, co poprzez szalony trud dążyli do ukochanej ojczyzny.

Tu był też już ostatni etap wspólnej podróży, rozchodziły się dalsze drogi i każdy miał podążać w swoją stronę.

Żegnano się z sobą ze łzami, gdyż jedni jechali dalej, do swoich rodzin, lub do opuszczonych niegdyś siedzib, inni szukali we Lwowie dla siebie chwilowego przytułku. Ale dość duża gromadka młodzieży, na czele z Gustawem i Kazimierzem, postanowiła wdziać polskie ochotnicze mundury, by stanąć na straży tej umiłowanej Polski, do której z taką tęsknotą przedzierali się poprzez zaśnieżone stepy szerokiej Ukrainy.

Marysia wraz z towarzyszami podróży, postanowiła również zostać na posterunku i zapisać się do służby samarytańskiej.

Do Warszawy obiecywali dopiero pojechać wówczas, gdy granice Rzeczypospolitej zostaną oczyszczone całkowicie, a polskiej wolności nie będzie przysłaniał już żaden cień czyhającego tuż wroga.

Udała się też cała ochotnicza gromadka do głównej załogi miasta, gdzie ich z chęcią przyjęto w szereg walczących, bo każde młodzieńcze ramię ofiarujące swe siły było wówczas pożądane, gdyż Lwów naokoło otaczały wojska ukraińskie, i już od 1 listopada 1918 r. trwało oblężenie, a front, którego musiano bronić, ciągnął się od Karpat przez Chyrów, Przemyśl, Lwów, i dalej ku granicy dawnego Królestwa na Bełz.

Dla Marysi miał się rozpocząć dopiero teraz okres nowego życia, o jakiem długo marzyła tęskniąc wśród krwawej rewolucji rosyjskiej, a potem poprzez cały ciąg wędrówki, co się snuła jak sen dniami i nocami, pełna przeróżnych wrażeń. Serce dziewczyny przez ten czas rozpłomieniło się jeszcze większym ogniem ofiarnej miłości... bo każda kropla krwi czerwieniąca się na białych drogach, po których przejeżdżali, wyciskała gorącą pieczęć na wrażliwym umyśle dziewczyny, i odsłaniała jej ten męczeński szlak, po którym szli przez długie wieki, bohaterzy idei polskiej.

Na drugi dzień po przyjeździe, mieli już wszyscy objąć swoje posterunki. Tymczasem pan Winiawski, pamiętając danego przyrzeczenia państwu Rybińskim, opiekował się i nadal trójką młodych, gdyż bardzo polubił obydwóch młodzieńców, jak też i dzielną dziewczynę.

Przedstawił ich pewnym znajomym, do których zostali zaproszeni w gościnę, aby mogli trochę wypocząć i przyszykować się do obywatelskiej służby jaką przyjmowali na siebie z ochotą.

W miłem bardzo gronie spędzili ten dzień i wieczór, bo i pan Winiawski wraz z niemi pozostał w gościnie u sympatycznych państwa K.

Marysia była rozradowana, że stanie nareszcie pod polskim sztandarem pracy i poświęcenia... ale wspomnienie, że rozłączyć się musi jednocześnie z Gustawem i Kazimierzem, napełniało ją lękiem przerażenia, gdyż dobrze wiedziała o tem, iż los żołnierski może ich rzucić w objęcia śmierci każdej godziny. Wstydziła się jednak wyznać swego lęku komukolwiek, tłumiąc go w sobie, który mimo to szarpał jej serce jakiemś bolesnem przeczuciem.

Po wypoczynku, na drugi dzień rano, młodzi wybrali się do kościoła, aby podziękować Panu za dotychczasową opiekę nad niemi, i zaczerpnąć w modlitwie siły na dalszą drogę nowego życia.

Gustaw i Marysia uklękli tuż przy sobie, opodal nieco klęczał Kazimierz i spoglądał bezustannie, to na ołtarz złocistemi blaskami oświetlony, to na klęczącą dziewczynę, która w tej chwili miała wyraz natchniony, i podobną była do jednego z tych ślicznych aniołków malowanych na obrazkach.

Młodzieniec ten, przebywający od dłuższego czasu obok uroczej dziewczyny, jaką była Marysia, mimo, iż wiedział, iż jest mu tylko siostrą i pozostanie nią na zawsze, nie mógł jednak oprzeć się innemu uczuciu, które powoli, lecz z wielką mocą zaczęło w jego sercu przemawiać, dopominając się swoich praw...

Kochał Marysię, wiedział to jeszcze w chwili, kiedy przyłączyła się wraz z niemi do polskiej partyzantki, lecz miłości swej nie zdradził byłby przed nikim, nawet za cenę życia i śmierci.

Miłość ta rozbłysła przed nim jak jasna gwiazda w ślicznym błękicie, którą olśniony szedł zapomniawszy o wszystkiem innem, poprzez szeroki step śnieżnej pustyni... aby tylko nie utracić jej promiennego widoku.

Wiedział też, że dziewczyna kocha Gustawa, i że kiedyś pozostanie jego żoną, lecz zdało mu się jednocześnie, że chwila ta jest jeszcze bardzo daleką, a jakaś nić niewidzialna wiąże coraz bardziej jego życie z życiem tych dwojga, co w tej chwili modląc się w skupienu, klęczeli tuż przed nim, tworząc dorodną parę.

A Marysia zapatrzona w ołtarz, modliła się z tą gorącą wiarą, jaka była wyryta w jej dziewczęcem sercu, prosząc Boga o jaki znak przyszłości...

Powoli też spływać zaczęło na nią jakieś wpółsenne zapamiętanie, wpatrywała się rozmarzona w ołtarz, który błyszczał gwiazdami żarzących się świec, i jak we mgle z liljowych płynących tumanków unoszącego się dymu kadzielnic, wyłaniać się zaczął kędyś z oddali nieznany dotychczas widok szerokiej pustej przestrzeni... Zapatrzone oczy dziewczyny, spostrzegać zaczęły w tej pustce, stojący na szczycie czarny krzyż... a naokoło krzyża leżały bez ruchu porozrzucane ludzkie ciała... Trwożny lek przejął duszę dziewczyny, a wzrok biegł niespokojnie, szukając kogoś wpośród tych cicho śpiących ciał naokoło czarnego krzyża.

Zadźwięczał dzwonek... dziwny dreszcz przebiegł po ciele rozbudzonej dziewczyny, a serce załopotało nieznanym jakimś lękiem.

Pierzchła wizja... a przed oczyma widniał tylko krzyż stojący na ołtarzu, z którego Chrystus miłosiernie spoglądał na polską dziewczynę.

Po skończonem nabożeństwie wyszli wszyscy troje z kościoła, lecz Marysia była smutna i przygnębiona, nie mogąc się otrząsnąć z odniesionego wrażenia smutnej wizji.

Gustaw zato był wesół i dobrej myśli, i wszelkiemi siłami starał się rozpogodzić zasmuconą twarz dziewczyny.

— Nie wstydźe ci Marychno — mówił — smucić się teraz, gdy jesteśmy u celu swych marzeń?... A potem — mówił ciszej — gdy już spełnimy swe przyrzeczenia wobec Ojczyzny... nastanie dla nas chwila radosnego szczęścia... Wtenczas zostaniesz moją żoną, i nigdy się już z sobą więcej nie rozłączymy...

Dziewczyna słuchała melodyjnego głosu ukochanego, i powoli na jej koralowe usta zaczął wykwitać promienny uśmiech, a nie chcąc smutkiem zaciemniać ostatnich chwil spędzanych razem, zaczęła się śmiać wraz z dwoma młodymi ludźmi, którzy z ufnością dążyli do wytkniętego celu.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Kujawiak.

Chłop-bohater.

Nie wiem, jak mu było na imię i jak się nazywał, lecz że to był chłop urodzony na Kujawach, nazywać go będę „Kujawiakiem".

Był czas, że nasz Kujawiak mieszkał na komornem w Inowrocławiu i tylko na dniówki do roboty w polu do wsi sąsiednich chodził, ostatnie jednak dwa lata przed pamiętnym rokiem 63 służył u państwa Dąbskich w Konarach.

Gdy w Królestwie wybuchło powstanie, a młodziuchny wówczas syn dziedziców, Franciszek Dąbski, przeszedłszy szczęśliwie granicę, dzielnie bił Moskali, postanowił i nasz Kujawiak za przykładem panicza iść na wojaczkę.

Po różnych przygodach dostał się oddział do pułkownika Baczkowskiego, który wprost z Brazylji, gdzie miał plantacje kawy, na wieść o wybuchu powstania do kraju wrócił i stanął na czele jednego z tworzących się świeżo oddziałów.

Dni parę upłynęło naszemu Kujawiakowi spokojnie, bo pułkownik chciał najpierw świeżo zaciągniętych szeregowców trochę wyćwiczyć i oddział zorganizować.

Lecz pewnej nocy wyruszono nagle w pochód i po nużącym, wielogodzinnym marszu przybyto nareszcie do lasu, położonego za Ruszkową Wolą państwa Morzyckich.

Radość szeregowców była wielka, gdy w lesie znaleźli gotowe z chróstu i gałęzi szałasy, snać pozostawione przez jakiś poprzednio tędy przechodzący oddział. Zmęczeni, zziajani pokładli się więc w cieniu na ziemię, pozrzucawszy wierzchnie ubrania, bo upał był nieznośny (było to mniej więcej w połowie czerwca).

Kawalerja poszła nieco dalej na lewo, by w znajdującym się tam jeziorze konie napoić, reszta zaś ustawiła się na pikietach.

Nasz Kujawiak służył piechotką w trzeciej kompanji, którą prowadził Jan Lignian, pozostał więc przy szałasach, przy których poskładano broń w kozły i wraz z innymi ułożył się do snu na ziemi.

Naraz jak grom z pogodnego nieba, huknęła skądciś salwa karabinowa, a kul kilka, jak osy naprzykrzone, brzęknęło tuż nad uchem usypiającego właśnie Kujawiaka. Przerażony zerwał się na równe nogi. A tuż z szałasów nawpół ubrani, jedni bez butów, drudzy bez czapek, wypadli szeregowcy za broń na prędce chwytając.

— Do broni! — do broni! — rozległo się po całym obozie.

Nieprzyjaciela jednakowoż nigdzie naokół widać nie było choć znów z boku i z tyłu rozległa się szarża wystrzałów, lecz wreszcie zmiarkowano, że wróg przyczajony z tyłu za szałasami.

Nasz Kujawiak z własnej woli i chęci poszedł na wojaczkę, lecz, że to jeszcze dotąd nie był ani razu w potrzebie wojennej, ni prochu nie powąchał, „matyjaśnie" jakoś zrobiło mu się „na wątpiu" a zęby szczękały mu jak we febrze.

— Dyć nie szczękaj tak zębiskami, — rzekł stojący obok niego, wytrawny już we wojaczce szeregowiec. — Jak zginiesz, to ci już wilcy zębiskami przygrywać będą pogrzebową melodję i pochód galanty wnet ci za darmo sprawią, mówił, nabijając spokojnie fuzję.

A tu znowu koło nich przeleciały ze świstem kule.

— Świergocą te kulki kiejby ptaszki, — rzekł towarzysz Kujawiaka, — a jak mnie który z tych ołowianych ptaszków pierwej, niż ciebie, na dobre utrafi, to już ci tam na wszelki wypadek obstaluję kwaterę na drugim świecie.

Lecz ledwie słów tych domówił, gdy kula w pierś go trafiła. Przechylił się na bok i padł na ręce Kujawiaka, który na ziemi go położył i pochylił się nad nim z trwogą.

— Nic to, nic to, — mówił ranny gasnącym głosem, — jeno trza mi się stawić u Chrystusa na ordynansie — chwyciły go kurcze śmiertelne.

Słowa i widok konającego kolegi nie mogły się przyczynić do podniesienia ducha w naszym bohaterze, to też dusza jego ze strachu w tej chwili, jak to mówią, na ramieniu, a byłaby chętnie i dalej stąd powędrowała, gdyby to tylko było możliwem.

— Naprzód wiara! — rozległa się komenda. Zimno mimo straszliwego upału zrobiło się naszemu Kujawiakowi, lecz że już wszyscy ruszyli, więc i on musi z nimi.

Wypadli na pole i nasz Kujawiak ujrzał naraz tuż przed sobą zwarte szeregi wrogów i łyszczące w słońcu, wzniesione do strzału lufy ich karabinów. Mróz przeszedł mu raz jeszcze po kościach.

Kule wrogów były już w drodze do ich serc, padły wystrzały. Kujawiak posłyszał obok siebie, poza sobą i przed sobą przeraźliwe jęki, rozdzierające falę powietrzną. I strasznie mu się zrobiło.

Padły znów nowe strzały, z których jeden tuż przy głowie mu przeleciał i zranił mu policzek. Rana była lekka, lecz strzał tak go ogłuszył, że nasz Kujawiak padł jak długi na ziemię.

— O! laboga, zabił mnie, — zawołał — padając i zamknął oczy. — Ha! cóż robić, zabiły mnie ścierwajuchy, — myślał sobie. — Ano stało się.

Lecz naraz uczuł, że ktoś go ciągnie i usiłuje podnieść ze ziemi. Był to lekarz oddziałowy, który spo-

strzegłszy padającego Kujawiaka, chciał go podnieść i wynieść z szeregu walczących, by go nie stratowano.

Ale Kujawiak nasz ani drgnął.

— Nie głupim, myślał sobie, — skoro raz już mnie zabili, to przynajmniej ten profit, że już w mieście na ten przykład komornego nigdy płacić nie będę potrzebował i człek może sobie choć spokojnie leżeć, a nie tarapać się jeszcze gdziesik przy takim strasznym upale; nie potrzebuję wstawać i tyle.

I wyprężał się coraz bardziej.

Ale lekarz zdołał wreszcie z pomocą jednego jeszcze szeregowca odciągnąć Kujawiaka na stronę i policzek mu obandażować.

Ból straszny, gdy lekarz ranę mu opatrywał, oprzytomniał docna Kujawiak i przekonał go, że żyje jeszcze. Roztworzył oczy i rozejrzał się wkoło.

Na lewem skrzydle dwie kompanje strzelców szły na samym przodzie wroga, środkiem łan piechoty, na prawo zaś kosynierzy. Grzmiąca rozmowa karabinów nie ustawała na chwilę. Od strony jeziora, poprzez zasłonę z dymów owianą dojrzał Kujawiak pędzący na wroga oddział kawalerji. Konie pędziły tak, że wydawać się mogło, iż brzuchami dotykają ziemi.

A na przodzie sam pułkownik Raczkowski naciera na wroga. Naraz koń pułkownika śmiertelnie rażony pada wraz z jeźdzcem na wznak.

Skoczył dowódzcy na ratunek adjutant jego, młodziuchny Franciszek Dąbski i swego konia pułkownikowi odstąpił. Lecz na stojącego adjutanta kilkunastu naraz natarło Moskali.

— Jezusiczku! — zawołał Kujawiak — rety, dyć to mój panicz złoty!

I w jednej chwili zapomniał o bólu i strachu, zerwał się na równe nogi, kosę ścisnął w garści i rzucił się naprzód.

Moskale strzelali do niego. Jedna kula urwała mu palec u ręki, druga w ucho go zraniła, inne odzież mu przedziurawiły. A że ślizgo od krwi ludzkiej było, więc wiele razy się potykał jeden raz upadł jak długi na ziemię, lecz zaraz się podniósł i biegł dalej na obronę swego panicza.

I jak piorun rozszczepia drzewo, w które uderzy, tak on z impetem dopadł do wrogów, rozszczepił ich zwarty szereg i sunął na napastujących panicza Moskali jak burza. Jednego lunął kosą przez łeb i tak mu go galantnie, jakby kto odmierzył, na dwie połowy równiuśko przeciął, drugiego lunął między ślepie, trzeciemu jednym zamachem pazurę wraz z karabinem odrąbał.

I jakby krwią się upił, rzucał się w prawo i lewo, waląc kosą swą o ludzi, jak chłop cepem zboże.

Krwawo zaszły mu białka ócz, a on sam swoją i wrogów krwią omazany, osmolony, straszny, szerzył tak dalej dzieło zniszczenia.

Ale Moskal we wszystkich punktach cofać się już zaczynał. Wreszcie dopadłszy do należącego do Ruszkowej Woli folwarku, do stojących nade drogą chałup, kilku się schroniło i drzwi za sobą zatarasowało. Naszym zabrakło amunicji.

— Cóż teraz poczniemy? — rzekł dowódzca. — Gdybyśmy tak jeszcze trochę ładunków mieli, to ani Moskal nie uszedłby żywcem.

Dosłyszał te słowa nasz Kujawiak i w jednej chwili powziął nagłe postanowienie.

Podniósł z ziemi kawał odłamanego drzewca od sztandaru; zapałkami, które miał w kieszeni przy sobie, zapalił i mimo strzałów, jakiemi go ustawicznie, lecz bezskutecznie Moskale z za okien prażyli, dopadł z boku chałupy, wskrobał się na dach i płonące drzewce do strzechy przyłożył. Poczem ściągnąwszy but z nogi, użył go jako dymaczki, aż gdy ognisty wytrysk iskier buchnął, Kujawiak płonący snop strzechy oderwał i na dach sąsiedniej chaty rzucił. Stojąc na skraju słomianego dachu, dymem odurzony, przewrócił się i szczęściem spadł na ziemię, bo w chwilę potem chałupa cała stanęła w ogniu. A i drugie chałupy wnet się zajęły.

Moskale z przeraźliwym krzykiem wyskakiwać zaczęli przez okno, bo drzwi zatarasowanych nie było czasu otwierać, lecz za oknami czekali już na nich nasi i żaden z Moskali nie uszedł żywcem, wyjąwszy tych, których jako jeńców pojmano. A bohaterowi naszemu pospieszono szczęściem zaraz na ratunek i napół nieżywego wyciągnięto z pod gruzów, krwią oblanego i strasznie poparzonego. Odstawiono go do dworu w Ruszkowej Woli, gdzie wiele tygodni przeleżał, aż wreszcie pod troskliwą opieką do zdrowia wrócił i potem jeszcze nieraz Moskalowi dał się we znaki.

Nazwiska jego nikt nie pamięta, pomnika żadnego mu nie wystawiono, ale pono w Niebieskich Rejestrach Chrystus Pan złotemi literami napisał nazwisko tego nieznanego bohatera z pod Ruszkowej Woli.

Cześć pamięci nieznanego Kujawiaka.



Jesień płaci...

Zaledwie śniegi stopniały,
Choć jeszcze prószył śnieg,
Chłop jeszcze z zimna skostniały,
Na orne pola biegł.

Pamiętał o tem, że trzeba,
Gdy wiosny dmuchnie wiew,
Iść orać ziemię dla chleba,
I na chleb czynić siew.

Pracował ciężko, spocony,
Ochoczy, biedny lud,
Nie wiedząc, czy te zagony
Spłacą choć w części trud.

Bo nuż grad plony naruszy,
Lub z deszczem zgnije snop,
Lub też posucha wyniszczy?...
Mimo to orał chłop.

Za to mu jesień zapłaci,
Wydając plonów zdrój,
I pracowitych wzbogaci,
Za trudy, pracę, znój,

Więc niema czasu nikt w chatce,
Bo z zbiorem praca wciąż,
Pracują dzieci przy matce,
Najbardziej jednak mąż.

I będzie w kraju dość chleba,
Bo wszędzie pełny bróg,
Przystawić stodół potrzeba,
Tak hojny plon dał Bóg.

Stanisław Zieliński.

STADNINA HR. POTOCKIEGO.



Jednem z najpożyteczniejszych zwierząt na świecie jest koń. Służy on człowiekowi jako siła pociągowa lub też jako wierzchowiec. Bierze udział wraz z myśliwem na polowaniu i z żołnierzem na wojnie. Niejednokrotnie zdobywa na wyścigach dla swojego jeźdźca znaczne nagrody, przynosząc częstokroć i sławę dla narodu, w którego jest posiadaniu. — Wszak niemal co roku odnoszą nasi jeźdźcy tak w Europie, jak i poza jej granicami znaczne sukcesy. Są dwa gatunki koni. Jedne żyją na rozległych stepach dziko, drugie, jako oswojone przy gospodarstwach domowych. Częstokroć dzikie konie łapią ludzie na tak zwane lassa, ujeżdżają je i tym sposobem oswajają. Konie domowe już od samego urodzenia są oswojone. Wielokrotnie jeszcze jako młode źrebaki bywają zaprzęgane do pługa lub wozu i pędzą swój ciężki żywot do końca dni swoich, znosząc często głód i niedostatek.

Niektóre większe gospodarstwa utrzymują specjalną hodowlę koni. Na rodziców wybierają najpiękniejsze klacze i ogiery. Matki przed ożrebieniem się oszczędzają, aby nie nadwyrężały swoich sił i wydały zdrowe potomstwo. Młode źrebięta trzymają na obszernych pastwiskach, otaczają je troskliwą opieką, aby wyrosły na silne zwierzęta bądź wierzchowe, bądź pociągowe. Są to tak zwane stadniny. Powyżej zamieszczony obrazek przedstawia właśnie taką stadninę hr. Potockiego na Wołyniu. Widzimy tam stogi siana, przeznaczone na karmę dla młodych koników, a obok grupki „wychowanków", wśród których czuwają pasterze, siedząc lub leżąc około rozpalonego ogniska.



Śmierć.

Po szybach deszcz dzwonił żałosną nutę i mrok zapadał — smutny, ponury mrok. W nędznej izdebce nawpół zapadłej chatki, zapłakana wyrobnica czuwała, siedząc na barłogu u wezgłowia, wpatrzona w mizerną, przeźroczystą twarzyczkę dziecka.

Upajały się kwieciem chryzantem złożonych na kołderce, jasne, błyszczące oczy dzieciny. Ona tak kwiaty kochała... Dawniej, gdy jeszcze zdrową była, kiedy na łąkach wiosna kąpała warkocze w brylantach rosy — ona zbierała modre pąki i pletła wianki przed obraz Najświętszej. Dawniej, gdy hen po polach w smugach szumiących kłosów zbóż, promieniały maki i chychotały lekko bławatki, wsłuchiwała się w tajemną melodję rozkolebanych serc ich kielichów. Dawniej pod jesień, kiedy w skrach srebrnych gwiazd, spokojna noc uśpiła świat — wymykała się cichutko z izdebki i biegła w zgrzebnej koszulinie pod dziedzicowy dwór, a kucnąwszy przy pałacowej altanie, okolonej stubarwnym liściem wrzecionowatych klonów, brała w objęcia zadumane w śnie malwy — garnęła do siebie konające na szponach śmierci nasturcje, podnosiła pochylone ku ziemi białe główki orchideji róż, a już najdłużej pieściła smutnie patrzące hryzantemy, składając na nich pocałunki.

— Moje kochane — moje, szeptała w łzach rozczulenia.

Rozkłała się w niej dusza tęsknotą, beznadziejnem pragnieniem powrotu, nieprześnionych snów — rozkłało się rozbite serce. Błądzi gdzieś po rozdrożu, na wyniosłości, pod cieniem prastarych lip, skarżąca się w zadumie słonecznych rozblasków, próchniejącej figurze świątka.

Ujęła leżące kwiaty i przytuliła je do blednących ust — jak ongi, jak dawniej w onych błękitnych godzinach sielskiego dzieciństwa, a biedna matka, twarz nędzą zgryzioną zakryła okrajem wytartej zapaski i załamała rozpacznie spracowane dłonie.

— Matulu nie płacz — matulu ten kwiatek mnie u Ciebie zastąpi, ten kwia — tek.

Ugrzęzło jej w gardle. Chwilę jeszcze ustami poruszała niemo, bezdźwięcznie — chwilę jeszcze drgały sine wargi. Zegar liczył głośniej sekundy uciekającego życia — nieubłagany los pchał przemocą zaśniedziałe z starości wskazówki.

Umarła w dziewiczej młodości, jak umierają jedynie „ukochani przez bogów". Uśpiły ją kwiaty, przygarnięte ostatnim tchem kostniejących rąk. Odeszła promienna, skrzydlata dusza w modrzyste bezmiary nieba, a od dalekich wieżyc, na Anioł Pański biły dzwony — jak gdyby żałosne jęki pozgonne, jakby przesmutne Rekwje, drżała ich melodja w szeleście opadających liści cmentarnych brzóz, w rozdzierającym szlochu matki — sieroty.

Odeszła jedyna szarych dni życia, pociecha.

Kupiła matka białą trumienkę i wieniec papierowych liści, za ostatni grosz składany na „czarną godzinę“. Złożyła w niej zimne, sztywne członki dziecka. W kościste rączęta zatknęła krzyżyk, ustrojony więdnięjącym kwieciem, a jeno ten jeden schowała na wieczną pamiątkę po ukochanem dzieciątku.

Rankiem grabarz wyniósł trumienkę pod pachą na cmentarz. Poszła za nim szlochająca w podartą chuścicę. W kaplicy ksiądz pokropił i znów wyrosła nowa mogiłka między malutkiemi.

W mrocznej chatce pusto, głucho — wieczorem biedna matka popłakuje po kątach, gdzie niedawno szczebiotało jej kochanie, a dziś smutno matce — sierocie, i żałośnie samej na świecie, w bólu i targaninie duchowej.

Marjan Skora.



Coraz zimniej i coraz smutniej na świecie. Cóz dziwnego, ze rankami i wiecorami człek się od ziębu skurcy i coraz częściej ku kozuchowi wzdycha, kiedy nawet taki dzień z kazdem dniem coraz bardziej się skurca.

Wkiejsik wysedem raniuteńko koło dziesiątej na pole zimiaki kopać, a ze jesce słonko było za chmurami, to mnie tak ciarki po skórze łaziły, jakbym conajmniej dwie godziny nie jadł. Powiadam ja więc do Bartka Gwizdały:

— Kumie! (mówię jem kumie, bo w tamte niedzielę kumowali u podwójcionki, to się jem słuśnie ten honor nalezy) — powiadam więc: Kumie! trza będzie chyba umirać, bo mnie jakisik ziąb od samego pępka zbira. A tu na świecie zamiast być coraz cieplej, to z kuzdem dniem coraz więksa ziębota. Lacego tak jest, trudno mi jakosik spenetrować. Kuzdemu przecie wiadomo, zę jak się w piecu dłuzej pali, to w izbie coraz cieplej, a na świecie inacej. Od samego maja słonko grzało i grzało, a jak przysed wrzesień, to ino ono przestanie świcić, to ziąb taki, jak w wielgiem poście. Coby to, kumie, robić, zeby się trochę ozgrzać.

— Co robić? — Bartek Gwizdała na to — Ozeń się, bracie, a będzie ci tak ciepło, jak Boże odpuść, mnie. Bo baba to cię zawse otuli i ogrzeje. Jak dobra, to i pierzyny nie poskąpi i weźmie cię do siebie, a jak się rozindycy, to cy to dzień, cy noc, palicą cię zagrzeje. I cy tak, cy siak, to najlepsem lekarstwem na zagrzanie jest i była zeniacka.

Tak padał Bartek, ale nieboscka matsia, co to jesce pono na dwa lata przed mojem urodzeniem się umarli, powiadali co inksego, a mianowicie, abym się nigdy pod jesień ani w zimie nie zenił, bo to cas najnieprześpiecniejsy.

— W lecie — padali — jak się z babom pohandrycys, a ona się będzie imać zarnówki, albo pogrzebaca, to weźnies, Maciuś nogi pod pazuchę i zmyknies w pole, albo do lasa. W zimie zasie, lebo w jesieni, gdy mróz scypie i wiatr gwizda krakowiaki po polu, musis się z babom obchodzić, by z jaką organiściną.

Tak padali nieboscka matusia, ale ze oni to łubieli często przycyganić, to i to ich gadanie nie całkiem mi się widzi. Ja w swojem rozumie całkiem inacy se wykalkulowałem. Wiadoma przecie wszyćkiem rzec, ze jak chłop kupi świnię, to nie zaraz pozna, cy ona będzie dobra, cy nie. I choćby kupił najgorsą, to jej zaraz nie rozezna, bo wszyćkie jej wady zwala na zmęcenie i na zmianę zarcia.

Taksamo i z koniem, choć trochę inacej. Koń, choćby najgorsiejsy, to zawse przed jarmakiem trochę se odpocnie, a zaraz po jarmaku ciągnie nie jak koń, ale jak śtyry konie. Chłop, który kupił kiepskiego konia zaraz go nie pozna, ze on zły, ale ciesy się z niego.

Takiesame przyjemności ma się i z babom.

Jak się ino z nią ozenis, to ona od rana do wiecora będzie ci gadać: Maciuś! Maciusiu, Maciuniu, Maciuleńku, Maciuniecku! i rozne inkse przezwiska. Co dzień będzie ci smazyć jajeśnicę z ogórkami, co niedzieli będzie gotować pirogi, a co miesiąc chusty ci wypierze. I na takich rozkośnych przyjemnościach zbiegnie ci nietylko jesień, ale i zima, a tyś jesce dobrze z zadny strony baby nie rozeznał.

Rozeznanie to dopiero przychodzi na zwiesnę, albo w lecie, a wtedy to zarnówka, cy pogrzybac znowu nie takie strasne. Latego tez i ja, jakbym się, Boże broń od takiego niescęścia, miał zenić, tobym juz wolał zimą, a cy przed Godami cy po Godach, to juz wszyćko jedno, bo zawse na niescęście cas.

Za zimową zeniacką to i to przemawia jesce, ze z niej prędziej się człek jakiego takiego pastucha dochowa. Bo w zimie przecie na wszyćko jest więcej casu.

Powiedzieć: Ozenię się! — to nie śtuka, ale naprawdę i po katolicku się ozenić, to naprawdę trudno. Bo zeby się ozenić, to do tego sam człek nie wystarcy, ale trzeba do tego panienki. A cy to w teraźniejsych powojennych casach o panienkę tak łatwo. W niktóry wsi to się tam moze i trafi, ale nie wszyćkich. A choćby się i trafiła, to nie wiadomo, cy prawdziwa, bo tego z wirzchu nie pozna. A pytać się który, cy tak, to kuzda odpowie, ze tak, bo prawdziwa kłamać nie moze, a choćby nawet raz sfałsowana do nicego się nie przyzna.

Coprawda moznaby wziąć gdowę, ale z gdową to nieprześpiecnie, bo jak się jej ino co ubzdurzy, cy to po złości, cy po dobroci, to będzie zawse z swojem nieboscykiem wyjezdzać i wychwalać go, jak on to umiał to, a jak tamto, jaki miał nos, jaką gębę i jakie wszyćko, a ty choćbyś miał takiesamo, albo lepse, to się jej to nie widzi.

Juz najlepiej toby się było ozenić z jaką zeniatą, ale cóz, jak taka zeniata trafi się dobra, to jej chłop nie puści, choćby chciała, a jak nic potem, to skoda se nią głowy kręcić.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Marja Wawrzykówna z Pastwisk 5 zł., Fr. Masłowski z Komarówki 50 gr.. Józef Waga z Szczałbi 1 zł. wszyscy dla Maćka.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Odkrycie Ameryki.

Zaczynając naszą podróż po szerokim świecie w „Roli‘, trudno jej nie zacząć od tego, który pierwszy te podróże ludziom ułatwił, który pierwszy puścił się na bystre fale oceanu, aby przy pomocy Bożej odszukać te nieznane ziemie, o których szeptano już po Europie. Człowiekiem tym był, jak wiadomo, Krzysztof Kolumb.

Nie będziemy się narazie bawili w opisywanie Ameryki Północnej, gdyż niemal każdy zna ją mniej lub więcej; jedni byli tam osobiście, inni słyszeli o niej opowiadania od swych znajomych. Zresztą w następnych artykulikach będziemy mieli sposobność opowiedzieć o niektórych „cudach“ w Ameryce. Dziś przedewszystkiem chcemy opisać, co znalazł Kolumb w Ameryce, gdy tam poraz pierwszy przybył. Wylądował on na wyspie, która dziś nosi nazwę San Salwador czyli po polsku Wyspa Zbawiciela. Najlepiej będzie, jeżeli przytoczymy wyjątek z listu Kolumba, jaki pisał na okręcie, kiedy powracał z swej podróży. Pisze on:



Wylądowanie Krzysztofa Kolumba na wyspie San Salwador.

Na tej wyspie i na innych ludzie chodzą, tak mężczyźni jak i kobiety, zupełnie nago, jak ich matka zrodziła; niektóre jednak kobiety używają do odzienia liści lub umyślnie przyrządzonego kawałka bawełnianej tkaniny. Nie znają żelaza ani stali, ani broni żadnej i nie są do niej zdatni, nie dlatego, iżby nie byli dość silnej budowy ciała i dość pięknego wzrostu, ale że są nad wyraz bojaźliwi. Za całą broń mają trzcinę, lecz i tej nie śmią używać. Zdarzyło mi się nieraz wysłać dwóch lub trzech ludzi na ląd dla zasięgnięcia języka w pobliskiej wiosce; tu wprawdzie cały tłum krajowców wylegał na ich spotkanie, za ich zbliżeniem jednak wszystko umykało co tchu, nie oglądając się ani brat za bratem, ani syn za ojcem.

Za to, kiedy się ośmielą i zupełnie onego strachu pozbędą, okazują się szczerymi, uczciwymi i szczodrymi nie do uwierzenia. Nigdy niczego nie odmówią, a raczej częstują wszystkiem, co posiadają, tak są serdeczni, że daliby własne serce i cokolwiekbądź wielkiej czy małej wartości za lada drobnostkę, nie zważając na sposób, w jaki im ją kto daje i zawsze są ze wszystkiego kontenci.

I nie znają żadnej sekty ani bałwochwalstwa — pisze dalej Kolumb — tylko wierzą, że wszystka siła i dobro jest w niebie i wierzą najmocniej, że ja z moimi okrętami i ludźmi przybyłem z nieba i w tym charakterze przyjmują mnie wszędzie tam, gdzie się przestali mnie bać. I to nie pochodzi z głupoty, owszem mają bardzo bystre pojęcie, gdyż jak na ludzi, którzy nie jeżdżą daleko po morzu, dziwnie ze wszystkiego zdają sobie sprawę; tylko, że nigdy nie widzieli ludzi ubranych, ani takich okrętów.

O ile wiem, mężczyźni zadawalają się tu jedną żoną, a swemu dowódcy czy królowi dają ich dwadzieścia. Zdaje mi się, że kobiety pracują więcej niż mężczyźni; nie mogłem się jednak zapewnić, czy każdy posiada własność osobistą, zdawało mi się bowiem, że to, co jeden ma, jest wspólne wszystkim, zwłaszcza rzeczy służące do żywności. Dotąd nie znalazłem ludzi potwornych, jak wielu myślało, ale raczej ludność bardzo pięknego typu. Włosy noszą rozwiane i nie znać po nich skutków żaru promieni słonecznych. Wprawdzie słońce jest tam bardzo silne, ale wyspy są tu górzyste, więc chłód wiejący z gór łagodzi upały, a zimy są nawet dość mroźne.

Przytoczyliśmy wyjątek z listu Kolumba, gdyż on najlepiej mógł opisać, co zastał w Nowym Świecie za pierwszym swoim przyjazdem tamże. Na zamieszczonym obrazku widzimy pierwsze wylądowanie Krzysztofa Kolumba i jego towarzyszy na wyspie nazwanej przez niego San Salwador. Pierwsza łódź przybiła już do brzegu; wysiadł z niej Kolumb z kilkoma towarzyszami i kazał natychmiast wznieść krzyż na odkrytej ziemi. Patrzą na to zdziwieni krajowcy. Druga łódź jeszcze na morzu, w dali widać okręty, na których Kolumb odbył swoją niebezpieczną podróż.

Z historji wiemy, że Kolumb nowoodkryte ziemie zajął na rzecz Hiszpanji, ale Hiszpanie nie utrzymali się tam długo, gdyż ich wyparli Anglicy i całą Amerykę Północną sobie przywłaszczyli i trzymali ją dotąd, póki Amerykanie, potomkowie tych Anglików, którzy się tam najpierwsi osiedlili, nie rozpoczęli wojny o niepodległość i póki jej nie otrzymali. Przewodził Amerykanom Washington, a z Polaków walczyli tam Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski.

Zapyta może niejeden, skąd się tam wzięli ludzie, kiedy ich Kolumb tam zastał. Czyżby Pan Bóg prócz Adama i Ewy i innych ludzi w Ameryce stworzył? Oczywiście nie, bo o tem wspominałaby biblja. Dostali oni się tam albo pieszo z Azji przez Grenlandję i Alaskę przez zamarznięte morze, albo byli to rozbitkowie europejscy, których burza przed setkami lat na ląd amerykański wyrzuciła. Tam, ży-

jąc zdala od swych praojców, nietylko zapomnieli tego, co się w dawnej swojej ojczyźnie nauczyli, ale zmienili nawet pod wpływem klimatu swój wygląd zewnętrzny. Dziś tych dawnych ludzi pierwotnych pozostało już w Ameryce niewiele, gdyż ich wytępili Europejczycy, a i ci, którzy tam jeszcze są, zostali zepchnięci w niedostępne góry nad Ocean Spokojny, albo przynajmniej zdala od osad nowych panów Ameryki.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ślepa niewolnica.

Rozdział XXII.

Stary klasztor.

Znaczna część wojska polskiego po pokonaniu Doroszenki rozeszła się do domów. Odddział żołnierzy udał się do Żwańca i przybył tam, nazajutrz po zamurowaniu Czerwonego Sarafana, ażeby wypocząć, a następnie puścić się w dalszą drogę, w końcu rozejść się do domów.

Sześciu jezdnych, po zaopatrzeniu w żywność przez mieszczan, udało się na kwaterę do starego klasztoru na końcu miasta. Urządzili oni sobie na jednym z krużganków wielkie posłanie ze słomy, na którem wieczór razem położyli się spać.

Mogło być około północy, gdy jeden z żołnierzy, leżący najbliżej ściany, obudził się i zaczął nasłuchiwać. Dochodził do niego odgłos jakiegoś głuchego jęku...

Czyżby się mylił? Skąd ten jęk mógł pochodzić? Inni żołnierze dokoła spali głęboko.

Wtem znowu odezwał się odgłos, przedłużony i przykry, jak jęk umierającego.

— W imię Boże! — szepnął — co to jest? Teraz znowu usłyszałem! Coś takiego, jak wołanie z głębiny!

Po długiej pauzie dał się słyszeć ponownie głuchy odgłos, a tym razem usłyszał go także leżący obok obudzonego żołnierza towarzysz i podniósł się nagle.

— Co to było? — zawołał — w imię wszystkich świętych! jakieś wołanie.

— To stąd musi wychodzić! — rzekł żołnierz, który najpierwszy się obudził i zaczął szukać w korytarzu.

Inni żołnierze, zaczęli wstawać jeden za drugim.

— Tu przecież niema drzwi — mówili — a tafle w podłodze są grube i szczelnie osadzone.

— Jest tu w ścianie nisza zamurowana — zawołał jeden z żołnierzy.

— I mur jest jeszcze mokry! — zauważył drugi.

— Przez rany Chrystusa! To niezawodnie tutaj! Słuchajcie! — krzyknął trzeci, przykładając ucho do ściany.

— Człowiek musi być za tym murem, wołano.

— Nie traćmy czasu i rozbierzmy ten świeży mur, zaproponował któryś.

Nie namyślając się długo, żołnierze przynieśli swoje lance i szable, obtłukli wapno, które łatwo było usunąć, a następnie wywalili jeden kamień.

— Jest tu za murem próżna przestrzeń! loch! — mówili jeden do drugiego.

Wyjęli jeszcze kilka kamieni, wskutek czego powstał otwór, który im pozwolił zajrzeć do niszy.

Wsunęli do niej zapalone łuczywo i zajrzeli...

— Jest tam jakiś człowiek w kącie... wyprostował się i oparł o ścianę... na świętego mego patrona, to Czerwony Sarafan!

W pierwszej chwili zdawali się nie wiedzieć, jak postąpić w tym szczególnym wypadku.

— Psst! — rzekł jeden ze starszych żołnierzy z siwiejącą już brodą do towarzyszów, odstępując od otworu i dając im znak tajemniczy.

Żołnierze zbliżyli się do niego.

— Zostawmy go w spokoju — rzekł stary żołnierz cicho — któż wie, jak się tam dostał i co zamierza! Ale mu dajmy do niszy kawałek chleba i dzbanek wina! Z Czerwonym Sarafanem powinniśmy być w przyjaźni, bo, gdyby nie on, wyszlibyśmy na żebraków.

Żołnierze zgodzili się na propozycję. Jeden z nich zaniósł po cichu kawałek chleba do niszy, drugi wstawił tam dzbanek wina.

Następnie zabrali swe posłania i przenieśli się na oddalone miejsce, ażeby Sarafana pozostawić sobie samemu.

Czerwony Sarafan przyczołgał się do otworu, który mógł mu służyć do wyjścia z straszliwego więzienia, napił się wina i posilił się chlebem.

Siły zaczęły weń powracać.

Wkrótce, napiwszy się wina raz jeszcze, powstał.

Włożył głowę do otworu.

Żołnierze leżeli w pewnej odległości i rozmawiali ze sobą po cichu.

Czerwony Sarafan przelazł przez mur i chwiejąc się wyszedł na wolność.

Jeden z żołnierzy zauważył to i wskazał w milczeniu ku wyjściu.

Czerwony Sarafan opuścił właśnie klasztor.

Na dworze była noc.

Ulice były ciche i puste. Mieszkańcy spali. Tylko przy wielkiej bramie w murze fortecznym stała warta miejska koło ogniska.

Mieszczanie, odbywający wartę, rozmawiali z sobą spokojnie, gdy nagle jeden z nich zbladł i przerażony wskazał w najbliższą ulicę.

Wszyscy zwrócili wzrok w tę stronę i cofnęli się jakby nie dowierzali własnym oczom.

— Czerwony Sarafan! — mówili.

Był to on. Tensam, którego poprzedniej nocy zamurowano. Żył. Był wolny.

Przerażenie zajęło miejsce wściekłości, jaką przedtem budziło widmo.

Czerwony Sarafan zbliżał się.

Zdawało się, że znowu był tym samym co dawniej, gdy bowiem spojrzeli nań z niewielkiej odległości mieszczanie, dał się słyszeć jego śmiech zwykły.

Sarafan wszedł do budki strażniczej przez drzwi otwarte i zdjął wiszący tam wielki klucz od bramy miejskiej.

Nikt nie śmiał zastąpić mu drogi. Wartownicy patrzyli tylko zdala na niego szeroko roztwartemi oczyma.

Wziąwszy klucz, Czerwony Sarafan wyszedł z budki. Przystąpił bez przeszkody do wielkiej starożytnej bramy, włożył klucz w zamek i otworzył. Następnie zamknąwszy bramę za sobą, przystąpił do zwodzonego mostu, zdjął łańcuch z haka i spuścił most.

Miał przed sobą wolną drogę.

Z cichym śmiechem przeszedł przez most zwodzony i znikł w ciemnościach nocy.

Rozdział XXIII.

Sassa w puszczy.

Od owego czasu, dużo się zmieniło w Polsce. Umarł król Michał Korybut Wiśniowiecki, a jak powszechnie twierdzono nie śmiercią naturalną, ale otruty przez straszną kobietę, Jagiellonę Wassalską. Następcą jego został obrany Jan Sobieski, który poślubił wdowę po Janie Zamojskim, piękną Marję Kazimierę.

Sassa uwolniona niemal w cudowny sposób z podziemia wieży w Żwańcu przez Czerwonego Sarafana, po długiej chorobie, którą przebyła na pograniczu Polski, powróciła do Warszawy. Ale tu biedne dziewczę wpadło wkrótce znowu w ręce strasznej Jagiellony.

Jagiellona postanowiła skończyć ostatecznie z nieszczęśliwą niewolnicą. Kazała ją poraz drugi



— To czerwony Sarafan.

zamknąć w podziemiu, przygotowując jej los, jakiego najstraszniejszy potwór wymyślećby nie potrafił. Pewnego dnia dwaj zamaskowani ludzie przybyli do pałacu Wassalskiej, otwarli drzwi podziemia, a wszedłszy doń, jeden z nich ujął Sassę za rękę i wyprowadził ją z pałacu, którego brama zaraz w chwilę potem zamknęła się. Zamaskowani zarzucili na Sassę derę, zanieśli ją na przygotowanego konia i przywiązali ją do niego.

— Co robicie ze mną? — zapytała Sassa z przerażeniem — gdzie jest mój pan? Jestem niewolnicą królewską.

Zamaskowani nie zważali bynajmniej na te słowa.

— Zlitujcie się!... mówcie! — błagała Sassa — co się ma stać ze mną?... Wołam o pomoc!

— Jeżeli jeszcze wymówisz jedno słowo, to zginiesz! — zagroził jej jeden z zamaskowanych.

On i jego towarzysze dosiedli koni i puścili się w drogę, prowadząc za cugle konia, do którego Sassa była przywiązaną.

Jeźdźcy wyjechali drogą wiodącą na południe.

Noc była jeszcze ciemna.

Nie tracąc chwili czasu, jeźdźcy z Sassą na koniu popędzili dalej.

Ślepa niewolnica z Sziras była napół odurzoną, czuła jednak, że jest skazana na jakiś los okropny.

Nie wiedziała, dokąd ją prowadzono, ale głos wewnętrzny jej mówił, że jest zgubioną.

Podróż szła dalej nieprzerwanie, aż nad ranem jeźdźcy przyjechali do pewnej wsi.

Mieszkańcy tej wioski na widok zamaskowanych padali na kolana i żegnali się.

Na końcu wioski zatrzymali się jeźdźcy.

Jeden z nich przyniósł z jakiejś chaty: wody, chleba i wódki.

Posiliwszy się i napiwszy, dali także ślepej niewolnicy wody i chleba.

Następnie puścili się dalej, a nazajutrz przybyli ze swą ofiarą do pustej, niezaludnionej okolicy, w której odległości wielu mil naokoło nie było widać ludzkiego mieszkania.

Zadanie ich jeszcze nie było skończonem.

Po krótkim wypoczynku pojechali dalej i dopiero po kilku dniach przybyli do gęstego, ponurego lasu, zatrzymali się, odwiązali Sassę i odprowadzili w głąb puszczy.

Żadnej drogi nie było dookoła, żadnej ludzkiej istoty, nie można było dostrzec na wiele mil.

Jeźdźcy na przypadek napadu zwierząt, uzbroili się w pałasze.

Przybywszy z Sassą do głęboko w gęstwinie położonego wąwozu, zatrzymali się.

Sassa domyśliła się teraz, jaki straszny los ją czekał. Miała być pozostawioną na puszczy, skazaną na karę sroższą niż śmierć, oddaną na łup dzikim zwierzętom.

Gdy ją zamaskowani odwiązali, padła na kolana.

— Tutaj masz, co ci się należy! — zawołał jeden z zamaskowanych, kładąc przy niej starą, zardzewiałą szablę, chleb i stawiając dzbanek z wodą.

Sassa słyszała, że ludzie ci odeszli do swoich koni, pozostawiwszy ją samą w obszernej, strasznej puszczy, w której nikt nie usłyszy jej wołania, w której już nazajutrz paść będzie musiała ofiarą dzikich zwierząt, gdy do bronienia się mniej jeszcze była zdolną od kogokolwiek, ponieważ była ślepą! Noc ją otaczała. Nie mogła widzieć drzew, które ją otaczały, ani zwierząt, które przybliżały się do niej.

Klęczała i modliła się głośno. Widok jej był okropny. Rozpacz ściągała konwulsyjnie jej piękne rysy.

Tak polecała się łasce nieba.

Jeźdźcy odjechali, głęboka cisza panowała dokoła, tylko krzyk sowy, lub innego ptaka naruszał spokój w nieskończoność ciągnącej się puszczy.

Sassa wyglądała jak pokutująca Magdalena, jak druga Genowefa, skazana na puszczy.

Powoli odzyskiwała spokój i poddawała się losowi. Jedna tylko myśl przejmowała ją głęboką boleścią, że nie znajdzie już nigdy Jana Sobieskiego

Była z nim rozłączoną na wieki, nie mogła go słyszeć, nie mogła zbliżyć się do niego.

A jednak kochała go całą macierzyńską duszą, tak, że w tej chwili byłaby chętnie poniosła śmierć najstraszliwszą, byleby tylko mogła raz jeszcze przed nim uklęknąć.

Zawołała go. Wołanie tęsknie rozległo się po puszczy.

Nagle wydało się jej, jakby jej wołanie wydało okropne echo w oddaleniu, odpowiedź, na którą drgnęła.

Głuche wycie doszło do jej ucha.

Znała ten głos i wiedziała jego znaczenie.

Był to głos żądnego krwi wilka.

Czyżby dzikie zwierzęta wietrzyły już swą ofiarę?

Z drugiej strony, z oddali dawał się słyszeć inny głos, krótkie, gniewne mruczenie, głodnego lub zaskoczonego przez niebezpieczeństwo niedźwiedzia.

Okropność!... Sassa klęczała nieruchomo.

Gdyby posiadała wzrok, mogłaby myśleć o walce, o obronie, ale była ślepą!

Była zgubioną! Nie mogła ani uciec przed napadem dzikich zwierząt, ani bronić się.

Sięgnęła jednak ręką do ziemi, szukając broni, którą jej pozostawiono.

Sassa znalazła zardzewiałą szablę, ujęła ją i wstała. Była odważną i przygotowaną do obrony.

Znów wśród ciemności rozległo się wycie wilka, które wkrótce znalazło odpowiedź z drugiej strony.

Coś poruszyło się wśród gałęzi.

Czarna, kudłata bestja torowała sobie drogę przez gęstwinę.

Był to wielki, czarny wilk, który wydał krótkie wycie, zobaczywszy tę, którą zwietrzył.

Sassa zdawaała się być zgubioną.

Chciwe żeru zwierzę krążyło koło niej.

Z odgłosu stąpań jego poznać mogła, w której stronie się znajdowało.

Obracała się dokoła.

Szabla była jej jedyną bronią, trzymała ją zatem w podniesionej prawicy, ażeby w każdej chwili być gotową do obrony.

Coraz bardziej przybliżała się drapieżna bestja i w każdej chwili mogła rzucić się na Sassę.

Nagle jednak w okropnej tej scenie nastąpił zwrot niespodziewany. Głuche mruczenie i trzask gałęzi dały się słyszeć w bliskości.

Wilk poczuł zbliżanie się niedźwiedzia i widocznie nie był zadowolony z przybycia tego współbiesiadnika, Sassa bowiem słyszała, że wydawszy szczególny głos, stanął.

Niedźwiedź zbliżał się coraz bardziej.

Położenie Sassy było tak okropne, że przez chwilę nie wiedziała co począć.

Nagle powzięła postanowienie.

Przystąpiła szybko, macając lewą ręką do stojącego tuż przy niej drzewa.

W śmiertelnej trwodze poczęła szybko i zręcznie wdrapywać się na niezbyt grube drzewo, pozostawiwszy szablę na dole.

Szczęściem jej było, że tak szybko zdecydowała się, gdyż w chwilę potem, niedźwiedź zbliżył się pod drzewo. Chciał on wdrapać się na drzewo, ale nie było dosyć grube, ażeby mógł to uczynić.

Zwrócił się więc z wściekłością przeciw wilkowi, który ciągle krążył koło drzewa, nie chcąc zostawić łupu swojemu przeciwnikowi.

Silny i świadomy swej siły wilk, zdawał się nie obawiać większego i mocniejszego przeciwnika, gdy bowiem ten się zbliżył, rzucił się na niego z dzikiem wyciem i głęboko zęby zapuścił mu w szyję.

Walka dwóch dzikich bestyj była straszną.

Nareszcie wycie wilka zaczęło słabnąć... niedźwiedź zadał mu straszne rany...? Głuche chrapanie świadczyło tylko, że wilk był pokonany, aż wreszcie i to ustało...

Zwycięzca nie rzucił się, ażeby pożreć pokonanego przeciwnika, lecz odwrócił się od niego.

Sassa słyszała wyraźnie, że zbliżył się pod drzewo i zaczął odkopywać ziemię, a następnie łapami odrywać korę.

Co się z nią stanie, jeżeli niedźwiedź pod drzewem pozostanie na straży?

W takim razie choćby jaknajdłużej zostawała na gałęzi, musiała zginąć, albo pod łapami niedźwiedzia, albo od głodu i pragnienia.

Godziny upływały.

Sassa słuchała z natężoną uwagą.

Mruczenie niedźwiedzia słychać było ciągle.

Siły zaczynały ją opuszczać.

Nadedniem zdawało się, że niedźwiedź myśli się oddalić.

Sassa słyszała ciężkie jego kroki.

Nastąpiła cisza.

Sassa czekała jeszcze jakiś czas, następnie zeszła z drzewa.

Słuchała, tłumiąc w sobie oddech.

Niedźwiedź oddalił się.

Sassa wynalazła naprzód pozostawioną pod drzewem szablę, a następnie chleb i wodę.

Zaspokoiwszy głód i pragnienie, zaczęła szukać miejsca, na którem mogłaby spocząć, nie będąc wystawioną w każdej chwili na napaść dzikich zwierząt.

Wynalazła wielki kamień i wdrapała się na szczyt jego.

Znużenie przemogło ją.

Położyła się na derze i zasnęła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ślepy grajek.

Złota zorza rzucała na drogę ostatnie swe blaski, ścieląc się u stóp pagórka i oblewając ostatniemi promieniami obraz Boga-Rodzicy co na wzgórku stał od wieków i patrzał na tulącą się wioskę. Drogą polną przez wieś szło dwu młodzieńców. Jeden z nich niósł ręczną harmonję zawieszoną na ramieniu na rzemiennym pasie, drugi szedł obok niego i prowadził go za rękę.

Młodzieńcy zatrzymywali się przy każdym domie, przy każdej chacie, a wtedy ten z harmonją, zdejmował ją i grał umiejętnie wyuczone kawałki. Twarz miał okropnie oszpeconą przez ospę, wzrok nieruchomie utkwiony w jeden punkt. Na skroni miał szeroką bliznę po zadanej ranie, a poza tem był zdrów. Grał kawałek po kawałku nabożnej, lub urywek jakiejś patrjotycznej piosenki, a nieraz widać było w jego ociemniałych źrenicach łzy.

Wędrował już tak od lat kilku zarabiając w ten sposób na utrzymanie nędznego życia. Przechodził tak wioskę po wiosce i miasta nie omijali, a biedny ociemniały nigdy nie spytał towarzysza, gdzie są, jaki kawał kraju przewędrowali. Był smutny i zrezygnowany, w duszy grajka tkwił ból głęboki, znać było, że cierpi bardzo w duszy, a nigdy skarga lub wyrzekanie nie wyszło słowami protestu na jego usta. Nieraz towarzysz jego posłyszał ciche westchnienie, i szept cichy, jak tchnienie wietrzyka. Nigdy już nie zobaczę mojej Janeczki! — Bóg tak chciał! I szedł dalej niosąc w duszy ból podwójny.

Razu jednego zaszli przed jedną z okazalszych chat pewnej wioski, i tu biedny ociemniały począł grać przytupując sobie w takt nogą. Grał zrazu jakąś wesołą piosenkę i urwał nagle, a melodja wpadła w ton smutny jękliwy, pełen skargi i bólu, a tęsknoty beznadziejnej, że słuchając płakać się chciało.

Zaledwie rozległy się pierwsze tony owej smutnej piosenki z chaty wybiegła młoda dziewczyna z okrzykiem:

— Jasiek!....

Na progu chaty stanęła jak wryta, przedstawiając sobą istny posąg boleści. Łzy jak brylanty zalśniły w czarnych oczach dziewczęcia i stoczyły się na ziemię.

Biedny ślepiec na posłyszany okrzyk drgnął i natychmiast urwał, zaczynając inną melodję.

— Nie, to nie on — myślała dziewczyna — gdzieby zaś taki biedak był jej Jaskiem? Pewnie się przesłyszała, takie ma przeczulone nerwy. Zresztą — myślała — czy to jeden Jasiek tak grać umiał? I na myśl o Jaśku taka ją rzewność ogarnęła, uczuła litość wielką w swej czystej duszyczce dla nieszczęśliwego kaleki, wbiegła więc do chaty i wyniosła mu dwa złote, całą swoją drobną oszczędność.

Pochyliła się, chcąc popatrzeć mu w twarz. Ale on miał głowę opuszczoną na piersi, a kapelusz głęboko nasunięty na czoło, i nie mogła jej dojrzeć.

Przyjął datek i podziękował jej skinieniem głowy, nie wyrzekłszy słowa.

— Niemy i ślepy — pomyślała — mój Boże i czemuż takie okropne nieszczęście dotknęło biedaka? — Co też będzie z jej Jaśkiem? Czy wróci kiedy? Wojna dawno się już skończyła, a on nie wrócił i nie wraca! Nie zginął przecie, przeczucie jej mówiło, że żyje, że go zobaczy jeszcze, i zobaczyła, a nie poznała, nie wiedziała, że to on, jej Jasiek! marzenie jej snów dziewiczych, w postaci ociemniałego kaleki się zjawił, i odszedł na zawsze, by na tułaczce dokończyć nędznego żywota... .

Patrzała długo za odchodzącemi młodzieńcami, a w sercu jej zerwała się burza nieznanych uczuć. Zdawało jej się, że potwór stugłowy przygniata jej piersi i ssie krew z jej serca..

Ozwał się dzwon z pobliskiego kościółka, a z dali za odchodzącym ślepcem popłynęły do dziewczyny tony granej przez ślepego piosenki:

...Anielską pieśń dzwon grał,
Cześć Marji wdzięcznie głosił...
Serc ludzkich jękiem łkał,
Na ziemię zejść ją prosił...

I milkła piosenka w oddali, a ostatnie jej tony konały razem z ostatniemi dźwiękami dzwonu.

Westchnienie tęsknej boleści uleciało ku niebu, razem z dwoma perłami łez co zwolna toczyły się z ócz dziewczyny. Gdy znikli na zakręcie wróciła do chaty, a usta szeptały: Bądź wola Twoja Panie!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Krótkie były dzieje ociemniałego grajka. W czasie wojny światowej zdrów i silny pokochał najładniejszą we wsi dziewczynę, i miał ją zaślubić, gdy niespodzianie został wysłany na front. Raniony niebezpiecznie w głowę stracił wzrok, a ospa dokonała na nim reszty zniszczenia.

Nie poznała go nawet ta jego ukochana, i dobrze się stało — myślał biedny ślepiec. Naco jej sprawiać ból swoim kalectwem? A może, kto wie, czyby go nie odtrąciła ze wstrętem? Wolał więc być niepoznanym i cierpieć dalej swą dolę. Szedł więc dalej biedny młodzieniec-kaleka, a z ócz jego ociemniałych łzy płynęły. Do ust cisnął podaną mu przez dziewczynę dwuzłotówkę. Nie widział jej i nigdy już jej nie miał zobaczyć.

Boże! i czemuż tyle nieszczęścia na tym świecie?!

Marja Wawrzykówna.



Poradnik gospodarczy.

Koniczynę zbiera się wprawdzie dwa razy do roku, ale na nasienie zostawia się zwykle tylko z drugiego pokosu. Pierwsze cięcie koniczyny daje bardzo mało nasienia. Koniczyna zostawiona na nasienie nie powinna być zbyt bujną i gęstą, gdyż ta obficie kwitnie, ale bardzo mało daje nasienia; powinna być wolną zupełnie od kanianki.

Główki kwiatowe przy próbowaniu palcami powinny być twarde, nabite nasieniem — miękkie główki dają mało nasienia.

Zbiór zaczyna się dopiero wtedy, gdy później kwitnące główki przekształciły się w ziarno, a wcześniejsze mają ziarno twarde, zabarwione ładnie nalotem fioletowym. Zesieczoną koniczynę suszymy na ostrewkach zwykłym sposobem lub wiążemy w małe snopki, ustawiamy główkami do góry i po paru dniach wysycha. Suszenie na pokosach ma tę niedogodność, iż dużo najpiękniejszego ziarna się wysypuje i idzie na marne. Omłot koniczyny najlepszy przy tęgim mrozie — można też młócić w dniu suchym i upalnym. Młócenie wymaga wiele pracy, ale też gospodarzowi bardzo powinno zależeć, aby mieć własny zbiór i własne ziarno koniczyny do siewu, gdyż tylko taki siew nie zawiedzie i mamy pewność zysku. Ziarno koniczyny daje się bardzo łatwo fałszować ziarnem koniczu z krajów o cieplejszej temperaturze i taka koniczyna pokazuje się pięknie w pierwszym roku, ale nie wytrzymuje zimy i przemarza.

Aby sobie oszczędzić pracy można siać koniczynę w plewach, jednak tylko wtedy, gdy nie było w koniczynie chwastów, gdyż źle wyczyszczone ziarno obfite w plewę rozpowszechnia różne chwasty, zwłaszcza szczaw i rumianek, które zachwaszczają rolę. Pewne nasienie wolne od chwastów i kanianki nigdy dla rolnika nie powinno być zadrogie. Zbiór nasienia z morga może wynosić do 3 korcy.

Jan Matysik.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli“ dołączamy czeki wszystkim Prenumeratorom tak kwartalnym jakoteż całorocznym. Prenumeratorów całorocznych prosimy, aby załączonych czeków nie niszczyli, gdyż mogą się one przydać na przesyłkę należytości za Kalendarz, który wkrótce będzie już do nabycia, na okładki na „Rolę“, książki, lub wreszcie dla nowo zjednanych prenumeratorów, o których jednanie wszystkich Czytelników usilnie prosimy. Nadchodzą dłuższe wieczory, „Rola“ zaś jest pismem w jednaniu prenumeratorów nie nastręczającem trudności, przeto spodziewamy się, że wiele przesłanych czeków w tym celu użytych zostanie, na czem też dużo i sami Czytelnicy zyskają. Życzenia do Administracji należy pisać na środkowej części czeku, gdyż tę część dostajemy. Za objaśnienia krótkie na co pieniądze są przeznaczone n. p. „Na Kalendarz“ nie należy przylepiać znaczków pocztowych.

Kongres eucharystyczny w Częstochowie. W ubiegłym tygodniu odbył się Częstochowie Kongres eucharystyczny, na który przybyło kilku biskupów, kilkuset księży i około pół miljona pątników. Na kongresie tym uchwalono 11 rezolucyj. Poniżej podajemy z nich najważniejsze wyjątki: „Pracując nad odrodzeniem świata w Chrystusie, szczególną uwagę należy zwrócić na położenie klasy robotniczej, która dziś znajduje się w warunkach życia nader ciężkich, poniekąd niegodnych człowieka i dziecka Bożego, jakim jest każdy robotnik na równi z wszystkimi innymi. W Królestwie Chrystusowem, do którego urzeczywistnienia dążymy, powinny istnieć takie warunki pracy i życia, aby robotnik mógł żyć jako człowiek z duszą nieśmiertelną, jako głowa rodziny, jako zdrowy, pełno-uprawniony członek społeczeństwa i jako dziecko Boże. Stwierdzając, że Chrystus-Król, jako Syn Boży, ma najwyższe prawo do duszy dzieci i jest najwyższym Nauczycielem i największym Przyjacielem dzieci, nie możemy sobie wyobrazić wychowania i szkoły bez Chrystusa i Jego św. religji. Dlatego stanowczo żądamy, by szkoły, którym powierzamy dzieci nasze, były szkołami katolickiemi. Wobec powtarzających się gorszących wypadków urządzania przez przeróżne organizacje ćwiczeń, zawodów, zebrań lub wieców podczas nabożeństwa uroczystego w niedziele i święta, a to zazwyczaj w pobliżu kościołów, oświadczamy, że takie postępowanie uważamy za naruszenia dnia Bożego i wzywamy wszystkie organizacje społeczne, by w przyszłości urządzały ćwiczenia i zebranie w odpowiedniej porze — poza godzinami przeznaczonemi na nabożeństwa i na odpowiedniem miejscu.

Ucieczka przed pożarem. Z Częstochowy donoszą: Onegdaj około 2 godziny nad ranem miasto zaalarmowane zostało sygnałami pożarniczemi. Przy ul. Narutowicza i Przechodniej, w drewnianym domu narożnym wybuchł pożar w komórce napełnionej aż pod strop słomą. Gdy jeden z mieszkańców domu przy ul. Narutowicza otworzył drzwi owej komórki, buchnął z niej olbrzymi słup ognia, który momentalnie przerzucił się na dalsze części zabudowań. W jednej chwili kłęby gęstego dymu osnuły cały dom. Jedna z lokatorek domu na widok gwałtownie szalejących płomieni, rzuciła z okna pierwszego piętra na podwórze dziecko, które jednak szczęśliwym trafem nie odniosło żadnych obrażeń. Mniej szczęśliwym był skok samej kobiety. Za jej przykładem poszli inni mieszkańcy zagrożonej realności. Szalonemu popłochowi położyła kres nadjeżdżająca straż pożarna, która natychmiast podjęła energiczną akcję ratowniczą. Straty spowodowane ogniem na razie nie zostały jeszcze ustalone. Ogółem wskutek pożaru pozostało bez dachu nad głową sześć rodzin. Trzy osoby zostały ciężko ranne.

Uprowadzenie nieletniej żydówki. Niedawno temu leśniczy Otton Sprowitz, Niemiec, zamieszkały w Myszkowicach koło Doliny, poznał tam 17-letnią Sarę Herschdörfer recte Hönig, córkę handlarza drzewem. Nawiązał on z nią bliższy stosunek i pragnął pojąć ją za żonę. Sara na to zgodziła się i miała przejść na wiarę katolicką. W tym celu nawet Sara przed dwoma tygodniami zbiegła z domu rodzicielskiego, poczem rodzice po siedmiu dniach przy pomocy policji z powrotem sprowadzili ją do swego domu. Aby rozłączyć Sprowitza z córką, rodzice przywiezli ją do Lwowa i tu umieścili u Weintraubów przy ulicy Panieńskiej 26. Miała ona być pod nadzorem, aby nigdzie nie wychodziła, ani też nie korespondowała ze Sprowitzem. Wkrótce Sprowitz dowiedział się, że Sara przebywa gdzieś we Lwowie. Wobec tego uprosił on swego znajomego, Mecka, właściciela młyna w Rożniatowie, aby ten ją odszukał. Ze sprawą tą Meck udał się do Jana Dwornickiego, dyrektora biura prywatnych detektywów, który za cenę 10 dolarów odszukał mieszkanie Sary. Zawiadomiony o tem Meck przyjechał we czwartek do Lwowa, a Dwornicki przy pomocy Sucharowej, właścicielki sklepiku, wywołał Sarę z mieszkania Weintraubów, poczem ta w towarzystwie Mecka autem wyjechała ze Lwowa w niewiadomym kierunku. Zawiadomieni o ucieczce córki rodzice przyjechali do Lwowa i zwrócili się o pomoc do policji. Stwierdzono, że Dwornicki w sprawie tej działał, toteż go w sobotę aresztowano jako współwinnego w uprowadzeniu nieletniej dziewczyny. Równocześnie na telefoniczne polecenie policji w Dolinie aresztowano Sprowitza. Brak tylko Mecka z Sarą. Gdzie oni są, tego nie zdołano jeszcze stwierdzić. Prawdopodobnie Meck wywiózł ją do jednego z klasztorów, aby tam przyjęła chrzest. Ustalono tylko, że auto z Sarą przejechało rogatkę stryjską.

Bestjalski mord. (P. W.) Do czego dochodzi zepsucie między młodzieżą, niech posłuży straszny wypadek, który wydarzył się w dniu 7 b. m. na zabawie w Święcanach, pow. Jasło. Na leżącego pod drzewem 24-letniego syna gospodarza tutejszej wsi, Michała Busia, napadł 26-letni parobczak, Albin Szynal i począł leżącego kopać butem a następnie dorwawszy polano drzewa uderzył go sześć razy w głowę, zadając mu śmiertelne rany. Smierć nastąpiła na miejscu. Mordercę aresztowano. Wspaniały pogrzeb przy bardzo licznym udziale krewnych, znajomych i mieszkańców okolicznych wiosek, którzy wzięli udział w tym smutnym obrzędzie, odbył się w poniedziałek 10 b. m. Dodać bowiem należy, że zamordowany cieszył się naogół dobrą opinją.

Zbrodnia w lesie. Z Równego donoszą: Niedawno stwierdzono tajemnicze zniknięcie gajowego Edwarda Piotrowskiego. Ponieważ tropił on niezmordowanie złodziei leśnych, przypuszczano, że został zamordowany przez nich z zemsty, trupa jednakże nigdzie nie można było znaleźć. Wszczęte w tej sprawie dochodzenie policyjne wykryło sprawców zbrodni w osobach Stasiuka Wasyla i Tkaczuka Wasyla, mieszkańców wsi Komarówki, pow. Kostopol. Oto pierwszy z nich strzelił do gajowego, a gdy ten ranny padł na ziemię i począł wołać o pomoc, przyskoczył Tkaczuk i chwyciwszy nieszczęśliwego za gardło, zadusił go. Po dokonaniu tego ohydnego czynu, mordercy wrzucili trupa do Horynia. Po 9 dniach zwłoki wypłynęły, a wówczas wspólnicy zbrodniarzów, Michał Tkaczuk i Kuźma wyciągnęli trupa z rzeki i wrzucili go do głębokiego stawu, obok wsi Komarówki, skąd nie zostały jeszcze wyłowione. Wszystkich aresztowano i przekazano sędziemu śledczemu.

Ohydna zbrodnia w lesie. Powiat Brzeżany poruszony został niezwykłą historją. W lasach majątku hr. Potockiego znaleziono wiszącą na drzewie młodą kobietę, a pod drzewem maleńkie, dogorywające dziecko. Jak ustaliło dochodzenie, młoda kobieta została zamordowana przez swego byłego kochanka Tomasza Boryszko. Zbrodniarz najpierw zastrzelił ją z karabinu, a następnie zwłoki powiesił na drzewie. Po tym ohydnym czynie zezwierzęcony zbrodniarz rzucił się na dziecko i przygniótł mu piersi. Potwora aresztowano, ciężko chore dziecko odesłano do przytułku w Brzeżanach.

Śmierć groźnego bandyty. Z Warszawy donoszą: Do zagrody Aleksandra Falsa we wsi Ostrów pod Opatowem wkroczył groźny gość i rozkazującym tonem zażądał noclegu, grożąc rewolwerem w razie, gdyby doniesiono o tem policji. Fals zainstalował dziwnego gościa, którym się okazal Wiktor Ojzga, postrach całego powiatu, na noc w stajni. Zmierzch zapadał, gdy do wsi wkroczył oddział policji, dowiedziawszy się, że bandyta znajduje się właśnie w tej wsi. Do stajni weszła gospodyni Falsa, aby przestrzec bandytę przed policją. Ojzga, przebrawszy się w kapotę parobka, ukrywając pod ubraniem karabinek, wyszedł ze stajni. Policja już czekała. Ojzga strzelił kilkakrotnie w kierunku policjantów, poczem rzucił się do ucieczki. Rozpoczął się pościg, w czasie którego policja oddała w kierunku uciekającego kilka salw. Jedn z kul ugodziła uciekającego bandytę w głowę. Groźny opryszek zatoczył się i padł na ziemię. W ten sposób powiat opatowski uwolniony został od postrach budzącego bandyty.

Kradzież 10 kilometrów flaków. W tych dniach dokonano w Warszawie sensacyjnej kradzieży. Oto do składu i suszarni flaków niejakiego Jagodzińskiego włamali się złodzieje, którzy skradli wszystkie znajdujące się tam na przechowaniu flaki w ilości imponującej: 10.000 metrów. Wartość skradzionych flaków przedstawia sumę aż 12.000 zł.

Szczodry uśmiech fortuny. Przed trzema tygodniami „Monitor" ogłosił, że na Wileńszczyźnie jest do odebrania w spadku olbrzymi, kilkanaście tysięcy hektarów liczący kompleks folwarków, ongiś odebranych rodzinie powstańca Sobolewskiego przez rząd rosyjski, a obecnie rewindykowanych. Z pretensjami do spadku zgłosiły się 23 osoby, z których tylko 14 przyjęto jako faktycznie uprawnionych do spadku. Wśród uprawnionych zgłoszeń do spadku było również zgłoszenie pracownika tramwajów poznańskich, p. Gandeckiego, którego żona nazywa się z domu Sobolewska. Na tej podstawie p. Gandecki otrzymał zawiadomienie, że w spadku przypada na niego tytułem uprawnień spadkowych żony z domu Sobolewskiej 18 tysięcy morgów ziemi pod Wilnem. Szczęśliwy małżonek członkini rodziny Sobolewskich pojechał do Wilna i objął już w posiadanie cztery wielkie majątki ziemskie. Narazie jeszcze p. Gandecki pełni normalnie dalej swą służbę. Szczęśliwy spadkobierca jest ojcem trojga dzieci i do Polski reemigrował przed kilku laty z Westfalji, gdzie w pocie czoła zarabiał na chleb w kopalni węgla jako górnik. P. Gandecki liczy obecnie około 40 lat, cieszy się opinją bardzo uczciwego i nadzwyczaj pracowitego pracownika. Los więc przeznacza dobrobyt i życie bez troski człowiekowi, który na to w pełni zasługuje.

Straszny czyn szaleńca. Mieszkaniec wsi Zaboklikі, pow. węgrowski, Michał Zaboklicki, od dłuższego czasu chory umysłowo, dokonał rano w dniu 7 b. m. strasznego czynu. Mianowicie wszedł do własnej stodoły, wypełnionej po brzegi tegorocznemi zbiorami — podpalił ją. Ogniste języki momentalnie ogarnęły całą stodołę, która spłonęła doszczętnie. Warjat, nie mogąc się z niej wydostać, padł pastwą płomieni i dopiero po pożarze wydobyto ze zgliszcza zwęglone zwłoki szaleńca. Ponadto od palącej się stodoły zajęły się i inne zabudowania gospodarskie oraz dom sąsiedzki, należący do Aleksandra Zaboklickiego, które spłonęły. Ogólne straty wynoszą około 30.000 złotych.

Morderstwo na weselu. Z Bydgoszczy donoszą: Dom robotniczy w Zblewie był onegdaj widownią krwawej tragedji. Mianowicie w czasie uczty weselnej wybuchła nagle awantura, spowodowana przez pana młodego, który obraził słownie dawnego adoratora swej młodej żony w osobie miejscowego rządcy. Ten ostatni pobiegł do domu i po chwili wrócił z dubeltówką. Padł strzał. Pan młody i brat jego ciężko ranni runęli na ziemię. Przerażeni goście pouciekali, pozostawiając małżonka rannego w obecności młodej żony. Brat pana młodego zmarł wkrótce, zaś pan młody walczy ze śmiercią. Morderęę w kilka godzin później aresztowano.

Niezwykły dar morza. Donoszą z Helu: Gwałtowna burza morska w połączeniu z trąbą powietrzną nawiedziła onegdaj polskie wybrzeże. Poruszenie wód było niezwykle silne, fale dochodziły do kilkumetrowej wysokości. Rybacy ponieśli dotkliwe straty wskutek zniszczenia sieci. Jakby w nagrodę za sieci, wzburzone morze wyrzuciło z głębi wód na wybrzeże wielkie ilości bursztynu. Rybacy i nieliczni letnicy, jacy pozostali jeszcze w nadbrzeżnych wioskach, zajęci byli zbieraniem daru morza przez kilka godzin. Wyrzucony przez fale bursztyn znajdowano na całej przestrzeni polskiego wybrzeża od Karwi aż do Jastarni.

Koło młyńskie zabiło dwóch ludzi niedaleko Wenecji we Włoszech. Sześciu ludzi przeprawiało się na łódce przez rzekę. Silny prąd wody uniósł ich jednak w dół rzeki pod wielki młyn. Łódka zderzyła się z kołem młyńskiem i przewróciła się tak, że robotnicy wpadli do wody.



Dwaj z nich zostali porwani pızez koło młyńskie i wisieli na niem przez trzy obroty. Gdy koło zatrzymano, obaj robotnicy byli bez życia, strasznie pogruchotani. Czterej inni robotnicy zdołali się uratować.

Złodziej w kufrze. W jednym z eleganckich magazynów przyborów podróżnych w Wiedniu na Roten-

turmstrasse jakiś wytworny pan nabył kosztowny kufer podróżny, za który zapłacił gotówką. Prosił jednak, aby kufer ten pozostał w sklepie do następnego rana, gdyż pragnie on nabyć jeszcze w jednym z sąsiednich składów drewnianą skrzynię, którą każe nadesłać do sklepu, a nazajutrz jedno i drugie zabierze ze sobą na kolej. Rzeczywiście niezadługo przyniesiono skrzynię, a nazajutrz zjawił się autem ów klijent, zabrał nabyty kufer i nadesłaną skrzynię i odjechał. W godzinę później właściciel magazynu spostrzegł dokonaną podczas nocy wielką kradzież najkosztowniejszej drobnej galanterji skórzanej: pugilaresów, portmonetek, neceserów, torebek i t. p. Nie ulegało wątpliwości, że w nadesłanej skrzyni ukryty był wspólnik owego pana, który w ten sposób pokrył sobie z grubą nadwyżką pieniądze zapłacone przez kolegę za kufer, naładowany następnie skradzionemi przedmiotami.

Tajemnicze zniknięcie pięknej Węgierki. Koła towarzyskie Budapesztu poruszone są żywo tajemniczem zniknięciem wyjątkowo pięknej 20 letniej dziewczyny, należącej do wytwornych kół towarzyskich stolicy Węgier. Urocza Węgierka w sobotę ubiegłego tygodnia pojawiła się w zakładzie kąpielowym, urządzonym nad Dunajem i wynająwszy sobie kabinę, włożyła na siebie strój kąpielowy. Równocześnie zapytała kierownika zakładu, czy niema jakiej okazji do popłynięcia na położoną malowniczo na Dunaju wysepkę, noszącą miano „Lida Węgierskiego". Kierownik oznajmił jej, iż właśnie attache wojskowy francuskiej ambasady wybiera się łodzią na wysepkę. Korzystając z tej okazji przedsiębiorcza Węgierka zwróciła się z prośbą do attache francuskiego, ażeby wyświadczył jej przysługę i zabrał ją na wysepkę, gdzie miało oczekiwać na nią grono znajomych. Gdy francuski attache wraz z piękną panną przybyli na wysepkę, młoda Węgierka skonstatowała nieobecność znajomych, poprosiła więc uprzejmego Francuza, aby odwiózł ją na inną wysepkę znajdującą się w pobliżu. Tak się też stało istotnie. Jakie były dalsze koleje energicznej Węgierki niewiadomo, zniknęła w tajemniczy sposób. Kierownik zakładu kąpielowego oczekiwał całą noc nadaremnie na powrót klijentki. Policja otworzywszy jej kabinę znalazła w niej tylko suknie pięknej panny. Aż do dzisiejszego dnia władze policyjne nie zdołały natrafić na żaden ślad zaginionej dziewczyny.

Straszna katastrofa kolejowa. Pociąg ekspresowy na linji Paryż-Budapeszt uległ koło Lundenburga, w pobliżu austro-czechosłowackiej granicy, strasznej katastrofie, która wynikła skutkiem złego nastawienia zwrotnicy. Pociąg ekspresowy wpadł mianowicie na pociąg towarowy, mający także kilka wagonów osobowych. Pierwsze trzy wagony osobowe, pociągu ekspresowego, tworzące t. zw. sekcję wiedeńską i przepełnione publicznością międzynarodową, uległy zupełnemu zdruzgotaniu. Z pod szczątków dwóch pierwszych wagonów wydobyto 17 trupów, pod trzecim wagonem znajduje się dalszych 16 ofiar, których los jest chwilowo nieznany, gdyż do wnętrza wagonu nie można się dostać. Będzie on rozbity przy pomocy aparatu tlenowego. 44 osoby ciężko ranne przewieziono pociągiem sanitarnym do Berna. Między uratowanymi pasażerami znajduje się też rumuński minister rolnictwa. Według ostatnich zestawień, liczba rannych dochodzi do 80 osób. Ciężko ranni zaś powiększają liczbę zabitych.

Niebezpieczna operacja. W jednym ze szpitali nowojorskich dokonana ma być niezwykle ważna operacja, której wyniku świat lekarski oczekuje z wielkiem zainteresowaniem. Młody chirurg, doktór Francis P. Weston planuje rozłączenie zapomocą operacji dwóch „sióstr syjamskich" Marji i Małgorzaty Gibbs, z Holyoke Mass, zrośniętych ze sobą od urodzenia. W sprawie tej wypowiedziało się kilku najznakomitszych chirurgów amerykańskich i większość z nich twierdzi, że operacja nie powiedzie się i że jedna z sióstr, lub obie umrą. Podobne operacje wykonywane były poprzednio, zawsze jednak kończyły się śmiercią pacjentów. Siostry Gibbs, liczące obecnie po 17 lat, cieszą się doskonałem zdrowiem. Ostatnio jedna z nich zakochała się w towarzyszu zabaw dziecinnych i postanowiła go poślubić. Z tego powodu zdecydowano się na operację, za zgodą obu sióstr. Lekarze twierdzą, że organizmy zrośniętych sióstr tak są zupełnie od siebie zależne, że rozcięcie ich musi zakończyć się śmiercią jednej lub obu. Gdyby zaś nawet operacja powiodła się i obie pacjentki żyły, każda z nich będzie tak silnie odczuwała brak drugiej, że ciągłe martwienie spowoduje choroby, które ostatecznie doprowadzą do przedwczesnej śmierci. Siostry Gibbs występowały przez pewien czas na scenie wodewilowej. Są przystojne, tańczą, śpiewają i grają na fortepianie. W roku ubiegłym jedna z nich była chora. Druga, leżąc w łóżku przy boku chorej siostry, spełniała rolę pielęgniarki.



Na obrazku naszym widzimy owe zrośnięte panny Gibbs, kiedy były jeszcze niemowlętami. Wątpić należy, czy nawet zręcznemu operatorowi ta trudna operacja się powiedzie. Zaznaczyć bowiem należy, że podobne operacje były już kilkakrotnie przedsiębrane, ale zawsze kończyły się śmiercią operowanych istot. Wobec tego można przypuszczać, że i obecna próba się nie powiedzie.

Proces trwający 116 lat. Niedawno został zakończony polubownie najstarszy chyba proces na świecie, bo trwający od 1812 roku, czyli przez 116 lat. Przed rozpoczęciem wojny w 1812 r. rząd amerykański zajął Szkuner „lord Nelson", będący prywatną własnością niejakiego Janeesa Crooksa. Wkrótce zaś potem „lord Nelson" został zatopiony. Właściciel wniósł przeciw rządowi amerykańskiemu skargę o odszkodowanie w wysokości 2.999 dolarów. Rozpoczął się proces, który ciągnął się przez całe 116 lat i kto wie, kiedy zostałby wreszcie zakończony, gdyby rząd waszyngtoński, znudzony widocznie przewlekłym sporem o parę tysięcy dolarów, nie zgodził się wypłacić odszkodowania w wysokości 23.644 dolarów. Spadkobiercy zgodzili się na tę sumę, choć podobno, gdyby się uparli i wygrali sprawę, to rząd Stanów Zjednoczonych musiałby im wypłacić odszkodowanie z procentami za 116 lat, a procenta od 2.999 dol. przez 116 lat wyniosłyby 14 miljonów dolarów.

RZECZY CIEKAWE.

Ośm tysięcy szkieletów.

Jedna z gazet angielskich podaje ciekawy opis katakumb w Palermo, mieszczących się w podziemiach klasztorów OO. Kapucynów. Widziałem mumje królów Portugalji — pisze korespondent tego pisma — oglądałem zwłoki faraonów, ale niczem jest to straszne wrażenie wobec przerażenia, jakie odczułem w tem sycylijskiem państwie umarłych! W ciemnej, wilgotnej pieczarze stoi wzdłuż ścian szereg zastygłych postaci. Przyodziane są w stroje swych epok, niby statyści biorący udział w rewji mody. A więc zwykli obywatele, żołnierze, księża, matrony i dziewice w białych welonach, dziewczęta młode i dzieci. Jedni spoczywają w otwartych trumnach, inni przytwierdzeni są do murów sznurami. W drgającem świetle woskowej świecy majaczyły pergaminowe twarze, puste oczodoły i wyszczerzone zęby tych strasznych zwidzisk. Połyskują gdzie niegdzie napoły zetlałe mundury oficerów, mienią się jeszcze zbutwiałe fjolety na sutannach prałatów, powiewają zczerniałe tiule welonów. Jeden z nieboszczyków przechylił jakimś szyderczym ruchem głowę na ramię, inny trzyma w skostniałych palcach pożółkłą fotografję. Nagi czerep roześmiany ironicznym chichotem, jakgdyby drwi z wianuszka sztucznych kwiatów, który pozostał mu jeszcze na skroniach. Obok stoi matrona w czepcu podwiązanym pod szczękę, z której chwieją się dwa zęby.

Najstraszniejsze jednak wrażenie sprawia widok kołyszących się na powrozach kościotrupów. Jest ich kilkaset... W podłużnej sklepionej sali zastygła, niby eksponat jakiegoś piekielnego panoptikum, cała procesja zakonników. Każdy z nich nosi na plecach kartkę z swem imieniem i datą śmierci. Puste oczodoły zdają się patrzeć na przechodnia, wyszczerzone zęby drwią z jego przerażonej miny i słychać przez nie szept strasznego memento:

„Czem ty jesteś, tem ja byłem. Czem ja jestem, tem ty będziesz“.

Co przeżywa żywcem zagrzebany?

Amerykański geolog, M. K. Morchead z Chicago zamieścił na łamach pewnego fachowego pisma swoje spostrzeżenia i wrażenia, jakich zaznał zasypany ziemią aż do chwili odkopania go przez robotników. Spostrzeżenia te są o tyle ważne i interesujące, że pochodzą od człowieka wykształconego i inteligentnego. Geolog ów został przysypany ziemią przy robotach ziemnych w okolicy gór Ohio. Dzięki natychmiastowej akcji ratunkowej zdołano go wydobyć z pod nasypu, przeszło jednak dużo czasu zanim organizm jego przyszedł do normalnego stanu.

„Kiedy ziemia usunęła się z pod moich nóg, a ja zsunąłem się w dół z przerażającą szybkością, pisze ten „żywcem pogrzebany“, „zrobiło mi się ciemno w oczach i w pierwszej chwili wyczułem silny szum powietrza dławiącego me płuca. Masa ziemi zaczęła mnie stopniowo przygniatać coraz potężniej, tak, że po chwili nie byłem w stanie poruszyć nawet palcem ręki. Ten straszny ciężar wciskał w mą skórę nawet guziki ubrania i zegarek z łańcuszkiem. Ślady z tych przedmiotów pozostały na mem ciele na długo jeszcze po ocaleniu. Chwilami piekły mię tak, jak gdyby były z rozpalonego żelaza. Sploty słomianego kapelusza przemieniły się w jakieś żelazne rozżarzone obręcze, które wżerały się z potężniejącą mocą w mą głowę. Zacząłem odczuwać wzmagający się ból w członkach i w okolicy żeber. Wkrótce jednak straciłem czucie; myśli tylko pozostały niezmącone; nie opanował mnie strach ani podniecenie, a całą siłę woli skupiłem koło jednego celu: zdobyć wolne miejsce dla ust i powietrze. Było to zupełnie niemożliwem, gdyż nie mogłem poruszyć ani jednym palcem, a miarową pracę płuc powstrzymywał olbrzymi ciężar gniotący klatkę piersiową. Dzięki dobrym kamykom ziemia nie dostała się do mych ust i nosa; wciągając jednak powietrze małemi dawkami, zauważyłem, że grudki ziemi przedostają się przez szczeliny kamyków. Gromadziło się ich w ustach i w nosie coraz więcej. Zbliżał się więc mój koniec. Coraz potężniejszy ciężar kładł się na mych piersiach; tętna zaczęły walić jak młotem z wzrastającym tempem i ogłuszająco, coraz szybciej, potężniej, aż straciłem przytomność.

Przebudziłem się z uczuciem, jak gdyby mnie ktoś bił młotem po głowie; była to łopata robotnika, który natrafił na me ciało. Odkopano najpierw głowę, by doprowadzić mi jak najwięcej powietrza; okazało się jednak, że najpierw należy przystąpić do usuwania masy ziemi przygniatającej całe ciało. Nabiegła bowiem krew do głowy z przysypanego ciała, rozdęła potwornie arterje podskórne, grożąc pęknięciem. Po wydostaniu mnie z pod warstwy ziemi widziałem i słyszałem wszystko , a jednak nie byłem w stanie wykonać najlżejszego poruszenia. Nie zapomnę chyba nigdy ptaszka, któregom zobaczył tuż po otwarciu oczu na drzewie i jego śpiew, kojący dziwnie szybko me nerwy. Przybyły lekarz zastosował masaż; przez kilka godzin patrzyłem na jego pracę, nie czując bynajmniej wyników jego zabiegu. Wreszcie „mrówki“ zaczęły przebiegać me ciało. Byłem ocalony. Ból w członkach i złamanych żebrach odczułem dopiero po 24 godzinach.

Pieśń wyrzeźbiona.

Na wyspie Gotlandji, zwanej „perłą Bałtyku“ znajduje się ciekawa rzeźba z przed tysiąca lat, tzw. „obraz-kamień“, której treść wyjaśnił dopiero teraz archeolog szwedzki dr. Nihlen. Przedstawia ona treść „Pieśni Volunda“ — cyklu północnych poematów, które służyły za osnowę arcydzieł literackich późniejszych czasów i natchnęły Wagnera do stworzenia szeregu oper.

Śpiew Volunda zawiera dzieje kowala uwięzionego przez króla Niduda. Okrutny władca kazał mu poprzecinać ścięgna w kolanach i nakazał pracować dla siebie na bezludnej wyspie. Volund zamordował przez zemstę dwóch synów królewskich, którzy odwiedzili go pewnego razu i ofiarował Nidudowi ich czaszki, bogato przyozdobione ornamentami ze srebra. Następnie mściwy kowal uwiódł córkę króla, a gdy ten polecił swym pachołkom zgładzić go, Volund, uciekł na skrzydłach, ukutych przez siebie i śpiewając straszliwą pieśń zemsty, przefrunął ponad dworcem Niduda.

Ponure dzieje Volunda zostały z mistrzostwem oddane w całym szeregu wypukłorzeźb z przed tysiąca lat, znalezionych w Ardre w Gotlandji. Dowodzi to, że Szwedzi, wówczas jeszcze poganie, starali się uwiecznić dla następnych pokoleń legendy z dawnych czasów. Na tejże wyspie znajduje się wiele kamieni z napisami runicznemi oraz „obrazków-kamieni“, przedstawiających dzieje przedhistorycznych bohaterów.

Jednakże treści wielu z tych rzeźb nie zdołano jeszcze niestety odcyfrować.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Wincenty Kuglin** w K.: Nowelkę i baśń otrzymaliśmy. W miarę miejsca zamieścimy. — **Jakób Dołęga** w L.: Zagadki otrzymaliśmy i chętnie z nich skorzystamy. — **Franciszek Jeż** w Z.: Obecnie sejm nie obraduje, więc trudno dawać jakieś wiadomości o jego obradach. Gdy się zbierze na posiedzenia, a uchwali coś ważnego, wówczas zamieścimy z pewnością. — **Jan Stawowy** w N.: Druk „Podróży po dalekich krajach“ rozpoczynamy dzisiaj. Będzie to cykl barwnych opowiadań, bogato ilustrowany. Ilustracje, robione na podstawie zdjęć fotograficznych, będą prawdziwą ozdobą „Roli“, a treść opowiadań, pisanych popularnie, zajmie każdego bez względu na wiek i płeć. Druk „Ślepej niewolnicy“, która się tak Panu podoba, przeciągnie się do końca roku. Powieść „Szlakiem idei“ ukończymy wkrótce, poczem rozpoczniemy druk nadzwyczaj zajmującej powieści historycznej, która przykuje uwagę Czytelnika od początku do końca. — **Karol Kwas** w D.: Pisać nie sztuka, ale dobrze pisać, to bardzo trudno. Prawdziwie dobry poeta nigdy sam swych utworów nie chwali, czynią to jedynie miernoty wszelkiego rodzaju. — **Mateusz Sobczyszczak** w S.: Cieszy nas, że Pan obecnie „Rolę“ otrzymuje w swoim czasie. Ale smutne jest, że na to musieliśmy się odnieść ze skargą do starostwa i także do pow. Komendy Policji Państw. w Lublinie. Jakąkolwiek skargę otrzymamy na złe doręczanie „Roli“, to nie zbywamy, ale odnosimy się do władz, aby krzywdzenie naszego prenumeratora miejsca nie miało. „Rola“ nie jest droga i tembardziej stać na zaprenumerowanie naczelnika gminy czy to gminy Piotrków, czy wsi Skrzynie lub posłańca. Co do drugiej sprawy, to pisma takiego tu w Krakowie niema. Te, które są, to wszystkie zieją nienawiścią partyjną bez najmniejszego umiarkowania. Pewni więc niezadowolenia nie zalecamy Panu. Za uznanie dla „Roli“ serdeczne dzięki. Wspomniany numer przesłaliśmy. — **Ludwik Liszka** w B.: Zapytamy się najpierw urzędu pocztowego w Zembrzycach, kiedy „Rolę“ do gminy wydaje. Po nadejściu odpowiedzi, zdaje się, zrobimy doniesienie na wójta do starostwa w Wadowicach. Niech Pan napisze, których numerów brak, a prześlemy powtórnie.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 14 września b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·94 do 1·70 zł.	Jałownik	od 0·90 do 1·75 zł.
Woły . .	od 0·92 do 1·85 zł.	Cielęta .	od 1·75 do 2·55 zł.
Krowy .	od 0·74 do 1·48 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·10 do 2·50 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·30 do3.25

Podziękowanie.

Wielm. Panu Doktorowi J. Kostowi składa najserdeczniejsze podziękowanie za zupełne wyleczenie z żylaków.

Aleksandra Matysikowa.

Wszyscy nowi Prenumeratorzy chcący mieć całość znajdujących się w numerze powieści mogą nabyć wszystkie numera „Roli“ od półrocza z początkami tychże powieści. Należytość można nadsyłać znaczkami pocztowemi. Kupujący „Rolę“ w agencjach mogą je zamawiać przez agencje.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył A. Liebeskind z K.).

■ ☆ ☆ ☆ ■ Kij wspak.
☆ ■ ☆ ■ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Małej Azji staroż.
☆ ■ ☆ ■ ☆ Narząd wydzielniczy (wsp.)
■ ☆ ☆ ☆ ■ Wiatr na pustyni.
☆ ■ ☆ ■ ☆ Miasto w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Służy do zapisków.
☆ ■ ☆ ■ ☆ Złe postępowania (wspak).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Okres czasu.
☆ ■ ☆ ■ ☆ Kraik w Europie.

Litery w kwadratach czytane z góry na dół dadzą nam dwóch królów polskich.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś).

I.

Pierwsza to rzeka w Karpatach się rodzi
A dopływ Wisły, jeśli o to chodzi.
Druga znów sama przyimek znaczy
Trzecia ostatnia, miernika tłumaczy.
Całość to miasto bardzo w Polsce sławne,
Bo nam przypomina złote czasy dawne.

II.

Pierwszą literę szukaj w alfabecie,
Jest nią samogłoska, o tem się dowiecie,
Druga na wodach w zimie się rodzi,
Z wiosną wraz z wodą do morza uchodzi.
Gdyby nie całość, rybby nie było,
Gadaj, szarada łatwa aż miło!

III.

Druga i pierwsza coś jak moc, potęga,
Trzecia i pierwsza całości księga,
Pierwsza i pierwsza małe dziecię płacze.
Całość za myszami bardzo zwinnie skacze,
Zwierz bystrooki, czasem dusi kura,
Za dowód prawdy, ręczy nasz pan Maciej [Bzdura.

IV.

Kto nie był pierwszej drugiej warty,
Ten nie był pierwszy drugi czwarty.
Drugie i czwarte na wojnie zadają,
Trzecia i druga drzewo otulają.
Drugiego pierwszego napotkacie w wodzie.
Całość nie kąsa, nie kopie, ni bodzie.
Jest to wstrętne robactwo, nawet wstyd [przynosi
Gdy się bardzo rozmnoży — niejednej go- [sposi.
Dokuczają i w Psiej Wójce Maćka gospo- [dyni,
Lecz pan Bzdura obiecuje, że je stąd „wy- [żyni“.

3. Bilety wizytowe.

(Ułożył J. Steinbach).

OSKAR BIPIAZ

KAŹ. SAT

T. REICHTAK

JAN TORUSZ

IZR. GASZTMER

MR. A. ST. BLEITZ

WIKTOR ZAY

IZAK MORS

KAROL WIEKI, DUBLANY

SZYMON JAYTIWA, SKOLE

S. R. JABKO, PIZA

Odgadnąć zajęcie tych osób.

4. Figielek.

(Ułożył Wirstnik Gabryel z Szcz.).

Rozmieścić w siedmiu stajniach 100 koni, tak aby w każdej stajni znajdowała się jednakowa ilość.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 29 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 37 „Roli“: 1. Łamigłówka: Herkules. 2. Szarady: I. Tulipan, II. Medycyna, III. Materja. 3. Logogryf: Mikołaj Rej. 4. Dostawianki: Stokrotka, stopa, półka, kotara, katar, Jacenty. 5. Bilety wizytowe: Dyrektor, malarz, akademik.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Włodzimierz Szwabowicz z K., Bielak Tadeusz z J., Franciszek Sawa z K., Ks. Franciszek Nawara z K., Dominik Bielak z Ch., Piotr Wenc z Ś., Franciszek Raszyk z L., Jan Gara z W., Józef Kapuściński z L. (wierszem).

Nagrody wylosowali pp.: Bielak Tadeusz z J. i Ks. Franciszek Nawara z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W komisarjacie policji.

— Jak nazwisko pani?
— Moje?
— No, tak.
— Richtig.
— A imię?
— Czyje? moje?
— No, tak, tak.
— Ryfke.
— Ile ma lat?
— Kto? ja?
— (ze złością): Nie, ja!
— Skąd ja mogę wiedzieć? Dziwne pretensje!

Optymiści.

— Pan Adam jest optymistą: grał w loterję, w której główną wygraną był samochód, więc wybudował sobie naprzód garaż.

— To nic mój przyjaciel, pan Kazimierz jest jeszcze większym optymistą: w końcu miesiąca nie miał pieniędzy, poszedł więc do restauracji i kazał sobie podać ostrygi. Rachunek chciał zapłacić perłami, które znajdzie w muszlach.

Myśli filozofa.

Kobieta w ciele mężczyzny przebywa następującą drogę: — Najpierw wpada mu w oko, potem staje się kością w gardle, wreszcie wyłazi mu bokiem.

Mała kobieta.

Nauczyciel wpaja w swe uczenice zasadę deklinacji i konjugacji.

— Zosiu, proszę raz jeszcze konjugować słowo „kocham"....

— Kocham, kochasz, kocha......

— No, no, a potem....

— Potem, to będzie z tego... wielki dramat rodzinny.

Niedaleko jabłko pada.

— Jak mogłeś podrobić mój podpis na wekslu?

— Ojcze, mówiłeś mi przecież, abym ciebie we wszystkiem naśladował!..

Giełda płodów rolniczych

z dnia 14 września b. r.

Pszenica	47·00—48·00	Słoma długa	12·00—13·00
Żyto	36·50—37·50	Ziemniaki stoł.	12·00—13·00
Owies	36·00—37·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	34·50—35·50		
Fasola biała	00·00 - 00·00	Mąka żytnia	55·00—56·00
Groch zwyk.	00·00 - 00·00	Mąka pszen.	80·00—81·00
Siano słodk.	24·00 - 26·00	Otręby pszen.	28·00—29·00
Konicz pastew.	32·00—34·00	Mąka czerw.	33·00—34·00

